Oprawiono w r. 1943.

Nadzieja,

Upominek dla dobrych dzieci.
od 12 – 14 lat.
(Nauki i aforyzmy dziadunia, powiastki, wiersze, biografie, nieco z fizyki i historyi naturalnej)

przez
X. Antoniego Moszyńskiego.

Kraków.

Nadzieja.

Nadzieja,

Upominek dla dobrych dzieci od 12–14 lat.

(Nauki i aforyzmy dziadunia, powiastki, wiersze, biografie, nieco z fizyki i historyi naturalnej.)

przez

X. Antoniego Moszyńskiego.

Kraków.

W latach 1836, 1838 i 1840 nakładem i drukiem naprzód Glücksberga a potem Józefa Zawadzkiego wydane zostały w Wilnie trzy tomiki mojej Kolędy dla dzieci, pisma, które w owym czasie znalazło dobre u publiczności przyjęcie, jak o tém pochlebne w różnych pismach świadczą o niém wzmianki. Wybrane z tych tomików powiastki i wierszyki złożyły znaczną część obecnéj książeczki; dodano tylko nauki i aforyzmy dziadunia oraz nieco z fizyki i historyi naturalnéj. Sądzę, że w licznym pism dla młodego wieku u nas wychodzących szeregu, książeczka niniejsza zbyteczną i bez użytku nie będzie.

Do was teraz zwracam głos mój młodzi czytelnicy moi. Wy jesteście _nadzieją_ przyszłości. Od was Kościół, społeczność, kraj, rodzina słusznem wymagają prawem, aby zabiegi i starania około wychowania waszego łożone próżnemi, aby położone w was nadzieje zawiedzionemi nie były. Jakiemi się

złożycie

złożycie w młodości, takiemi powstaniecie na zawsze. Największe zdolności, najpiękniejszy talent, jeśli ich nauka nie wykształci, wyjdą na skarb zakopany w ziemi, na grunt odłogiem leżący, na zasypane popiołem zarzewie. Jeśli korzystnie młodość swą przejdzicie, porównywając potem wiek późniejszy z dzieciństwa naszego wiekiem postrzeżecie żeście więcej moralnie jak fizycznie urośli, zdawać się wam będzie, że, jakby cudem jakimś, większą część duszy przydaliście sobie, i błogosławić będziecie młodości waszej pracowicie ale pożytecznie przepędzonej. Im więcej będziecie oswieceni, tém pewniej poznacie stanu swego obowiązki, tém łatwiej wyjdziecie na pożytecznych obywateli kraju, poczciwych urzędników, roztropnych panów, i tém większego do prawdziwej zasługi nabędziecie prawa. Ale za nic pójdzie wszelka umiejętność, owszem szkodliwą się stanie, jeśli jéj łączyć nie będziecie z religią, z moralnością, z dobremi obyczajami. Bogaćcie zatem wcześnie rozum wasz i serce wasze, serce cnotami, rozum nauką, abyście się stali chlubą i pociechą kraju i rodziny waszej, aby się rzekło na was, że jesteście nadzieją przyszłości.

Nauki i aforyzmy dziadunia.

I.

Do wnuka, dwunastoletniego chłopca, którego rodzice już się do lepszego przenieśli świata, tak mówił siedmdziesiąt-letni, poważną, siwizną okryty dziadek.

Kiedy się P. Bogu tak podobało, dziecię moje kochane, że cnotliwi i całą kochający cię duszą, rodzice twoi przed czasem z tym się rozstali światem i ciebie zostawili sierotą, na mnie spadł ciężki wprawdzie, ale razem miły obowiązek opieki nad tobą. Alem ja już stary i niedołężny, i w niedalekim zapewne czasie, podążę za rodzicami twymi, ty zaś, o czém bez trwogi pomyśleć nie mogę, pozosta-

niesz sam jeden pośród tego burzliwego i pełnego niebezpieczeństw morza świata, na którem wielu młodych ludzi smutnego doznało rozbicia, w którego falach wielu pogrążonych zostało. Żeby i ciebie, dziecię moje, podobny los nie spotkał, potrzebna ci jest umiejętność sterowania, potrzebna ci bussola czyli igła magnesowa. Tą umiejętnością, tą bussolą jest religia i nauka. Nauczyciele twoi, ludzie zacni i światli, wykładają ci nauki, bez których na świecie obejść się nie można, i z pociechą serca widzę, że z nich korzystasz. Ale oprócz tych nauk, wiele ci jeszcze wiedzieć potrzeba, i ja, którego przyszłość twoja najwięcej obchodzi, który nad wszystko pragnę, żebyś był i dobrym chrześcianinem i pożytecznym obywatelem kraju, i miłym Bogu i od ludzi kochanym, postanowiłem dać ci niektóre rady i przestrogi. Posłuchaj mnie więc i co ci powiem, wraź dobrze w serce i pamięć

twoją.

twoją, i przyjm to jako zadatek mojej miłości ku tobie.

1.

Nieskończoną Bogu twojemu winieneś czuć zawsze wdzięczność, że ci pozwolił urodzić się w religii Jezusa Chrystusa, w religii której celem jest dobro nasze tak doczesne jak wieczne, a miłość Boga i miłość bliźniego zasadą.

Kochaj Boga jeśli chcesz być od Niego kochanym, bój się Go, chceszli być mądrym. Początkiem bowiem mądrości jest bojaźń boża, bać się zaś Boga, jest to, podług mędrca pańskiego, strzedz się złego, a czynić dobrze.

Miłość nie jest boska, kiedy nad miłość ludzką wyższa nie jest. Kochać Boga trzeba nad wszystko, kochać nietylko usty ale i sercem, nietylko sercem ale i uczynkami.

Nie wymaga Bóg od nas, żebyśmy na dowód

miłości

miłości naszej ku niemu, wyrzekali się majątku, poświęcali mu zdrowie i życie, chociaż i majątek i zdrowie i życie nieść mu powinniśmy w ofierze, jeśliby tego konieczna była potrzeba. Miłość ku Bogu wymaga tego nadewszystko, żebyśmy pełnili Jego prawo święte, i życiem cnót i poświęcenia pełnem, wysłużyli obiecaną nam nagrodę w przyszłości. Nie wstydź się wylewać tez miłości i wdzięcznego serca modląc się do tego Ojca niebieskiego.

11.

Modlitwa jestto święte wzruszenie serca, jestto polot duszy, w którym człowiek wznosi się do Boga i niejako jednoczy się z Bogiem.

Zaczynaj dzień od modlitwy i kończ go modlitwą, ale niech modlitwa twoja będzie wolna od światowych, ziemskich myśli i niech więcej

serce

serce się modli jak usta.

Że modlitwy nasze często są bezskuteczne, dziwić to nas nie powinno, bo albo nie prosimy Boga o co Go prosić należy, albo prosimy nie tak jak należy. Prosimy Go o rzeczy niesprawiedliwe, albo o takie którychbyśmy na złe użyli, albo prosimy z roztargnieniem i bez uwagi. Kto się źle modli, mówi s. Bernard, a chce być wysłuchanym, podobny jest do człowieka, który zepsute zboże wiezie do młyna w nadziei, że otrzyma z niego piękną mąkę.

Skowronek żyje na ziemi, zbiera żywność na polu, ale w pewnych chwilach wznosi się ku niebu, i dzwoni piosnkę na cześć Boga. Tak i człowiek — pracować powinien, bo do pracy jest stworzon, lecz od czasu do czasu niech w modlitwie wznosi serce ku niebu i składa cześć Stwórcy swemu.

Módl się moje dziecię szczególnie w kościele, zie-

być

być dla drugich był zbudowaniem i przykładem nabożeństwa, ale modlitwy twojej nie ograniczaj samym kościołem. Dziecię kochające czyliż czeka publicznych zebrań i uroczystości domowych, żeby miłość swoję okazać rodzicom? Bóg jest wszędzie. Modl się do niego w domu, w podróży, w cieniu lasów, na lądzie i na morzu. Bóg cię usłyszy wszędzie, on wszędzie bliskim jest ciebie

III.

Cały rodzaj ludzki jest jedną rodziną, której Bóg jest ojcem. Każdy tej wielkiej rodziny członek jest naszym bratem, naszą siostrą, naszym bliźnim, każdego zatem kochać powinniśmy.

Kochać tych co nas kochają, co nam świadczą przysługi, co o nas dobrze mówią; niecierpieć tego, kto nie umiał nam się podobać, kto jest nam nieprzychylny; czuć wyrządzoną krzywdę i mścić się

zamiast, to nam natura do serca podaje, ale nie tego uczy nas Ewangelija. Miłość ewangeliczna nie zna i nie czyni różnicy. Kochaj bliźniego ktokolwiek on jest, przyjaźny czy nie przyjaźny tobie, kochaj go nie dla niego tylko bo to miłość ziemska, niedoskonała, ale kochaj go dla Boga. To poświęca miłość naszą, to jej nadaje zasługę i wartość.

Bóg chce żebyś nie miał w nienawiści nieprzyjaciela, również zaleca, żeby twój nieprzyjaciel nie miał w nienawiści ciebie. Jak Bóg roskazuje żebyś kochał wszystkich ludzi, tak przykazuje wszystkim ludziom, żeby kochali ciebie. Czy może być co nad to sprawiedliwszego?

Uwielbiam człowieka cichego, łagodnego, nieprzyjaciela kłótni i sporów. Człowiek taki mimo wy-

żywań i zaczepek duchów burzliwych, zachowuje spokojność, krzywdy nawet z cierpliwością znosi. Więcej jeszcze; człowiek taki czuje najżywiej niedolę drugich: z nimi on jest w nędzy, z nimi jest w smutku, z nimi w cierpieniu. Ich pomyślność, ich wyniesienie, ich chwała cieszy go jak własna. To prawdziwa miłość bliźniego.

IV.

Niech serce twoje i twój worek będą zawsze otwarte dla biednych. Jałmużna służy modlitwie zamiast skrzydeł, powiedział ś. Jan Chryzostom. Przy jałmużnie zatem modlitwa twoja skuteczniejszą się stanie. Jeśli skrzydeł tych nie użyjesz, modlitwa twoja nie wzniesie się do nieba.

Nie mów, że złe czasy, że nie można pamiętać o ubogich. Właśnie dla tego samego powinieneś o nich pamiętać, bo jeżeli złe są czasy dla ciebie, to dla ubogich nie-

mnie

równie są gorsze.

Przykazanie jałmużny nie wymaga, żebyś ogałacał siebie dla drugich, żebyś się rujnował dla biednych, żebyś bogacił ubogich, tylko żebyś ich wspierał. Darami i dobrodziejstwy szafuj powoli, jeśli chcesz szafować długo. Naśladuj strumienie, które chociaż powoli jednak ciągle płyną, a nie te rzeki, co razem wzbierają i powódź sprawują, a potem tak wysychają, że je suchą nogą przejść można.

Niech od progu twego nie odchodzi nigdy ubogi bez wsparcia i pociechy. Pamiętaj, że jeśli nie wesprzesz ubogiego, być może, że zabójcą jego będziesz.

V.

Miłość wolna jest od ducha krytyki, co tylko przez czarne szkło na czyny bliźniego patrzy. Kiedy prawdziwie kochamy, czyliż szukamy wad w przed-

mioci

mocie naszej miłości, czyliż powiększamy te, których nie możemy nie widzieć? Nic więc innego tylko brak miłości przyczyną jest tych nielitościwych krytyk, tych płochych sądów tak powszechnych między ludźmi.

Największym interessem twoim być powinno, zachować pokój i zgodę ze wszystkiemi. Nie wydawaj zatem nigdy sądu nieprzychylnego o nikim; nawet w kółku najlepszych przyjaciół nie powtarzaj cudzych mów, kiedy tem zaszkodzić możesz bliźniemu twemu. Nierozsądek i złość innych nie upoważniają cię do ich naśladowania.

Nie bądź łatwym do wierzenia wszelkim wieściom i historyom krzywdzącym, jakie często bez

zadnej

żadnej zasady jedni o drugich głoszą, i miej się na ostrożności względem tych co je rozsiewają. Wieści te mogą być niesprawiedliwe, mogą być potwarcze, a chociażby była w nich część prawdy, a nawet cała prawda, wierzyć im nie powinieneś, póki się o nich sam nie przekonasz, a i wtenczas, zamiast rzucać kamień potępienia, zamiast ogłaszać błędy bliźniego, staraj się go usprawiedliwić, lituj się nad błądzącym, albo, jeśli możesz, rozsądną i przyjazną radą, wpłyń na poprawę jego.

Kto przed tobą rozpowiada wady innych, ten i twoje wady rozpowie innym. Potwarca obiera zawsze za cel swoich pocisków osobę nieobecną. Zbyt nikczemny, żeby stawić jej czoło jawnie, uderza na nią zaocznie. Najzłośliwsze są te psy, co się rzucają z tyłu. Potwarca równie jak ten co go słucha, oba mają czarta niepokoju, u jednego siedzi on na języku, u dru-

giego

giego w uchu, powiedział s. Bernard.

VI.

Jeśli się dowiesz, że kto źle o tobie mówi, rozważ to dobrze i bez uprzedzenia; a kiedy w sumieniu twojem uznasz się winnym błędu, który ci zarzucają, staraj się poprawić jak najprędzej, i bądź wdzięczny temu, kto ci tę korzyść sprawił. Jeśliby zaś niesłusznie cię ganiono, nie okazuj gniewu i niechęci, bo doświadczenie uczy, że pogarda zabija potwarz, a gniew ją zasila.

VII.

Człowiek stworzony do towarzystwa. Wzajemne między ludźmi stosunki, wzajemne usługi, czynią życie miłem i oddalają od niego troski i niepokój. Ale ponieważ towarzystwo z niemi może być złe i szkodliwe, przeto ściśle powinieneś robić

wybor

wybor osób, z któremi masz obcować. Młodzi zwykle łatwi są do zawierania przyjaźni, ale wierz mi moje dziecię, prawdziwy przyjaciel to taka rzadkość jak kamień filozoficzny. Wielu szukało go całe życie i znaleźć nie mogli.

VIII.

Wyszedłszy na świat ujrzysz się śród ludzi i pokus. Wszystko co zobaczysz, wszystko co usłyszysz, sprzecznem się okaże z zasadami wpojonemi w ciebie przez rodziców. Mówić ci będą bezustannie, że w wieku twoim weselić się należy, że młodości przeznaczeniem jest zabawa i przyjemności życia, że trzeba robić tak jak inni, że do rzeczy poważnych dość czasu będzie w późniejszym wieku. Nie słuchaj tych mów i bądź przekonany, że niema czasu życia któregobyśmy nie powinni korzystnie użyć. Posród świata zachowaj siebie czystym i bez skazy. Kto prze-

nosi roskosze ciała nad dobro duszy swojéj, zostawia człowieka tonącego, żeby jego odzienie ratować.

IX.

Nie wiąż się z nikim przyjaźnią, póki nie zbadasz dobrze jego charakteru, sposobu myślenia i sposobu życia. Unikaj szczególnie tych, którzy religią biorą za przedmiot swoich rozstrząsań w tym celu, żeby ją spotwarzyć. Niech cię nie zaślepiają ich sofizmy i wymowa świetna. A kiedy po dojrzałym namyśle zrobisz wybór osoby, bądź dobrym, wiernym, stałym w przyjaźni. Być może, że później odkryją się w nim wady i skłonności naganne. Bądź wyrozumiałym, pobłażającym, i jeśli to możebne, przebacz mu te wady. A jeśli koniecznie zerwać z nim stosunki rozsądek i cnota nakażą, wtenczas zrywaj przyjaźń grzecznie i zachowaj o niéj wspomnienie miłe.

X.

Nie spodziewaj się być dobrym między złymi. Nie zawsze zdrowym bywa, kto ze zdrowym obcuje, ale prędko się chorobą zaraża kto z chorym przestaje. Czy może słodycz wody rzecznej utrzymać się śród słonego morza? Czy mogę zdrowem oddychać powietrzem w domu powietrzem zarażonym. Nigdy się złym nie podobasz, jeśli jak oni złym się nie staniesz.

XI.

Dla sług i domowników bądź względny i wyrozumiały, pomnąc że oni są także ludźmi i chrześcianami jak ty, i że stan służebnictwa istoty rzeczy nie zmienia. Wybieraj ich z troskliwością mając głównie na względzie ich obyczaje i życie moralne. Czuwaj nad nimi, obchodź się z dobrocią i słodyczą, uważając ich za młodszych braci swoich. Miej o nich staranie w chorobie, i sam ich odwiedzaj, nie spuszczając się w tem na drugich. Jeśli koniecznie ukarać trzeba

winnego

winnego, nie daj mu czasu uciec się do twej dobroci. Jeśli łzy jego i żal uprzedzą cię, straciłeś już prawo do gniewu i kary. Cesarz Aurelijan mawiał, że tego tylko ukarać należy, komu się już cztery razy przebaczyło. Niech ukarany żywi to przekonanie, że nie kaprys i passya przyczyną są jego kary, lecz słuszność i własne jego dobro. Wreszcie w czém sam będziesz mógł sobie poradzić, umiéj się i bez sług obchodzić.

XII.

Nic nie czyń w pierwszém poruszeniu gniewu, zaczekaj, aż wzburzona dusza wejdzie, że się tak wyrażę, w koryto swoje. Niech czas przeleci nad raną twoją, póki się nie zamknie. Co stracisz na czasie, zyszczesz na spokojności, na zdrowiu, na zadowoleniu wewnętrznem. Gniew jest to ogień, który w jednej chwili ogarnia wszystkie władze duszy, a wtenczas

najzacniejsze uczucia gasną, rozum błądzi, sumienie głuchem się staje. Błędy i szkody, często niedające się naprawić, gniewu są skutkiem.

XIII.

Córką gniewu jest zemsta. Gdyby zemsta oznaczała dzielność i odwagę, to zwierzęta miałyby w tem największą chwałę. Do zemsty nie trzeba ani męstwa, ani rozumu, dosyć jest mieć naturę zwierzęcą. Dla tego to najnikczemniejsi i najsłabsi ludzie, najskorsi są do zemsty. Przeciwnie, do przebaczenia urazy, do umiarkowania gniewu trzeba cnoty i rozumu, trzeba dzielnego i męskiego serca.

Żywiąc w sercu uczucie zemsty, pokażesz, że nie umiesz znieść wyrządzonej ci krzywdy, że niemasz w sobie tyle męstwa żebyś się uczuciu temu oparł, albo w sobie je ukrył. Dla przeciwnika twego to największy tryumf, kiedy widzi, że cios przez niego zadany przeniknął ci aż do serca, że rana żywo czuć ci się

daje

daje. Zwycięztwo zatem jest na jego stronie, a porażka i słabość na twojej. Przebacz nieprzyjacielowi twemu, odpłać mu dobrem za złe, a upokorzysz go, zawstydzisz, nawet pozyszczesz go sobie.

XIV.

Być bogatym nie jest grzechem, ale grzechem jest źle używać bogactw. Majątek jaki z łaski Opatrzności mieć będziesz, staraj się utrzymać a nawet pomnożyć, lecz uczciwie, rozumną ekonomiką, bez krzywdy cudzej, bez uchybienia obowiązkom miłości bliźniego. Pamiętaj jednak, że największe skarby nie nasycą pragnienia, owszem je powiększą i rozdrażnią. Nie zrobiły one nikogo lepszym, często zaś zrobiły gorszym, a rzadko kogo szczęśliwym. To, co od koniecznych wydatków zbywać ci będzie, możesz użyć podług swego stanu i położenia towarzyskiego. Dochody swoje obracaj szczególnie na rzeczy koniecznej potrzeby, na wsparcie publicznej użyteczności

zakładów, na rozpowszechnienie oświaty w kraju, na podniesienie piśmiennictwa krajowego, na nabycie książek użytecznych, które cię oświecić i czas twój uprzyjemnić mogą.

XV.

Unikaj zbytku. Przyzwyczailiśmy się teraz do tysiącznych potrzeb nie rzeczywistych a urojonych, z należy, że nie chcemy nic cierpieć. Tym sposobem stajemy się zależnymi od innych, i gotujemy sobie wiele przykrości.

Zbytek jest naganny kiedy z dochodami nie mierzą się rozchody, kiedy te ostatnie poświęcają się na rzeczy bez których wybornie obejść się można, kiedy się rujnuje poczciwie zebrana ojcowizna, kiedy się zaciągają długi o których wiesz że nie opłacisz. Za zbytki twoje odpowiadają dłużnicy, a ty zostajesz ich grabicielem, ty ich okradasz.

Pierwszym przeto obowiązkiem twoim być

spraw-

powinno, starać się o zaspokojenie koniecznych potrzeb, i pracą zapewnić dobry byt rodzinie swojéj żeby nie być ciężarem dla drugich.

Nie majątek, nie dochody wielkie czynią człowieka bogatym, ale rozumny rząd, i rozumny rozchód. Drobne, częste a niepotrzebne wydatki niszczą wielką fortunę. Dębowi wielkiemu mały robak szkodzi, nie dla tego że gryzie, ale że często.

XVI.

Nie bądź też brudnym sknerą, skąpcem, a tembardziej łakomym. Łakomy, żeby się zbogacić na nic względu nie ma. Jakiekolwiek są pieniądze, z lichwy, ze zdzierstwa, z krzywdy bliźniego, jednakową mają one dla niego, że tak powiem, woń, jednakową wartość. Zbiera on pieniądze, nie żeby ich używać, ale żeby posiadać. Żyje całe życie nędzarzem, żeby umrzeć bogatym. Chce jednak uchodzić za osobę

tliwego, i łakomstwo swoje okrywa uczciwej ekonomiki płaszczem.

Łakomy jest jak koń, który wino wiezie a wodę pije, jak osioł który chociaż bogate juki na sobie nosi, siano jednak jada. A najlepiej przyrównać go ktoś do wieprza, który za życia obrzydliwy, po śmierci dopiero staje się szacownym i smacznym.

XVII.

Gra w karty sama w sobie nie jest naganna, ale jeśli rodzi zazdrość, chęć zysku, jeśli zabija czas drogi, jeśli pobudza do gniewu, strzedz się jéj należy. Nie poświęcaj nigdy na grę, ani więcej czasu, ani więcej pieniędzy, tylko tyle, ile poświęcić możesz, nie obrażając sumienia, nie czując w sobie żalu i smutku.

Gra staje się naganną i niebezpieczną, a przy-

najmniej przestaje być niewinną, kiedy w niej szukamy nie rozrywki dla umysłu, nie zabawy przyjemnej, ale środka zdobycia pieniędzy. Żadna namiętność nie zawłada tak prędko człowiekiem, jak namiętność zysku: gra ma dla niego niewypowiedziany powab. On nie myśli o tém, że wygrana jego będzie zgubą dla drugiego, że jego radość wywołuje u drugiego rozpacz. On chce, żeby wszyscy przegrali, żeby wszyscy przyszli do nędzy, tylko żeby on się zbogacił.

Nic nam nie sprawia tyle przyjemności, ile majątek prawnie i godziwie nabyty, którego czystem sumieniem używać możemy. A czy gracz, który ograł drugiego, może tej przyjemności doznawać? Nie jestże on wydziercą cudzej własności, nie możnaż go sprawiedliwie nazwać złodziejem?

XVIII.

Przygotuj się do tego dziecię moje że cierpieć

będziesz. Jak w naturze fizycznej nie może być ciągła pogoda, tak w życiu człowieka nie może być ciągła radość. Bóg dopuszcza na nas niedoli dla dobra naszego, jak malarz świetne w obrazie farby cieniami przerzuca.

Chcesz czy niechcesz musisz cierpieć. Każdy rodzi się na biedy i kłopoty, w liczbie tylko różnica, że jednemu mniej, drugiemu więcej się dostaje cierpieć. Choroby, strata osób sercu naszemu drogich, klęski domowe i wiele innych smutnych wypadków są udziałem człowieka na tym świecie. Ale jeśli cię dotknie przeciwność, nie narzekaj, nie trać serca. Strzeż się tylko, żebyś przez własną nie cierpiał winę.

Niema zbawienia bez krzyża, niema zasługi bez cierpliwości, niema zwycięztwa bez walki. Woda długo stojąca psuje się, mięso bez soli gnije, zielsko bez użycia zdrawieje.

Czas jest najlepszym lekarzem na rany duszy. Jak ~~tej~~ radość nasza nie jest trwała, tak smutek i nieszczęścia są przechodniemi chmurami na widnokręgu naszego życia. Łzy smutku naszego, jak wody morskie tracą swoją gorycz unosząc się ku niebu. —

XIX.

Dawni filozofowie z imienia nawet nie znali pokory; jest to nabytek chrystianizmu. Jezus Chrystus od siebie uczyć się jej kazał. Gdy się przez pokorę uniżam, podnoszę się do Boga. Prawdziwa zasługa nigdy się nie wynosi, próżność tylko i czczość umysłowa nadymać się lubi. Ale pamiętaj, że piana morska po wierzchu wody pływa, a szacowna perła na dnie morza leży.

—

Im wyżej stoisz, tem mniej powinieneś mieć pychy. Patrz na pole okryte zbożem. Kłosy które pod-

noszą główki swoje nad inne, zwykle są próżne. To samo o ludziach powiedzieć można. Tych co się wynoszą i nadymają pychą, licz między głowy próżne rozumu i cnoty.

XX.

Unikaj próżnowania i staraj się być zawsze pożytecznie zajętym. Próżnowanie jest grobem pochłaniającym wszystkie zacne skłonności. Człowiek próżnujący jest jakby umarły dla społeczności. Leniwiec śpiąc idzie do piekła, powiedział jeden święty.

Kochaj naukę i czytaniem rozszerzaj swych wiadomości sferę. Przez czytanie sąd się wyrabia, pamięć się bogaci, umysł nabywa nowego światła. Ale nie czytaj książek które obrażają moralność albo zapalają wyobraźnię a umysłu nie zasilają. Mogą to być piękne kwiatki, ale ich zapach truje.

Starożytny jeden filozof mawiał, że lepiej być

biednym

biednym aniżeli nieukiem: biednemu można dopomódz małą kwotą pieniędzy, a nieuka trzeba jeszcze zrobić człowiekiem.

XXI.

Nie sądź, że ci zabraniam wszelkiej zabawy. Łuk ciągle natężony pęka, ciągła praca wycieńcza siły. Jak ciało potrzebuje snu i pokarmu, tak umysł bez wypoczynku obejść się nie może. Ale jak w jednym tak w drugim nie należy przekraczać granic koniecznej potrzeby. Jak wstrzemięźliwość ciała była zawsze najlepszym środkiem utrzymania zdrowia, zapobieżenia chorobom, tak unikanie zbytku w zabawach sprowadza czerstwość umysłu i zdrowie duszy. Najniewinniejsze zabawy stają się występnemi, kiedy się im oddajemy namiętnie, kiedy poświęcamy im wszystek czas, a przynajmniej znaczną część jego. Już wtenczas nie my

nad uciechami, ale one nad nami panują, i tracąc je, tracimy cząstkę naszego szczęścia i spokoju. Uciechy powinny być niewinne, a żadna nie ma cię odciągać od obowiązków twoich.

XXII.

Nakoniec pamiętaj moje dziecię, że jesteś śmiertelny, że umrzeć musisz. Nie polegaj ani na młodości ani na zdrowiu. Szkło, które tylko co opuściło hutę, równie kruche jest i rozbiciu podległe, jak i to, które dawno już z rąk robotnika wyszło. Nowy okręt tak samo ulega rozbiciu na morzu jak i stary. Bądź więc zawsze gotów, to jest, miej zawsze czyste sumienie, bo niewiesz kiedy cię Pan powoła do siebie. Nie ma lepszej szkoły dla życia dobrego, jak częsta myśl o dobrej śmierci.

Hymn poranny.

Już głuchej nocy zniknęły cienie,
I ranne błysnęło zorze;
Ja pierwsze mego serca wzruszenie
Tobie poświęcam o Boże.

Twoim to Panie darem, że jeszcze
W żyjących liczbie się mieszczę.
Jeszcześ mi wątku życia przedłużył,
Bym ci się lepiej zasłużył.

Przyrzekłeś Panie, że kto do Ciebie
W rannej się udaje dobie,
Będzie wysłuchan w każdej potrzebie,
I będzie wsparcie miał w tobie.

Pozwól więc abym w tej rannej chwili,
Przypomniał twą obietnicę.
Spraw, byśmy w zdrowiu dzień ten przeżyli,
Ja, krewni, drodzy rodzice.

Prowadź mnie drogą Twojego prawa,
Udzielaj twojej opieki,
Niech z cnotą wszelka zgadza się sprawa,
Niech będę zbrodni dalcki.

Hymn wieczorny.

Już z niebios zniknło słońce różane,
Lecz wróci z jutrzejszą zorzą.
Mnie kto upewni że jutro wstanę
Że mnie do grobu nie złożą.

31.

Dnia ni godziny nie jestem pewnym,
W Panu mam tylko nadzieję,
Że mnie, że dawcom życia, że krewnym,
Jeszcze słońce zajaśnieje.

Dobroć twa Boże niech mnie obdarzy,
Do cnoty siły nowemi,
Niechaj mi zbrodnia z powaby swemi,
We śnie się nawet nie marzy.

Miłość ku tobie serce me wzruszy,
Choć ciało spocznie w snu dobie,
Sen nie zatłumi głosu mej duszy,
Głosu miłości ku Tobie.

A kiedy rzucę spoczynku łoże,
W żyjących sług twoich rzędzie,
O tobie pierwsza myśl moja będzie,
Tobie hołd wdzięczności złożę.

Do młodzieży. (a)

W rączym biegu czas upływa,
Wszystko wraz z sobą porywa,
I lubej młodości chwile,
Jego się nie oprą sile.

Jak róża gdy się rozwinie,
Wkrótce więdnieje i ginie,
Tak z wdzięków do niej podobna
Przemija młodość nadobna.

Korzystaj więc luba młodzi
Z czasu co rychło uchodzi!
Dni wieku twojego złote
Zbogać w naukę i cnotę.

(a) Wierszyk ten przedrukowany był w jednym z kalendarzy przeszłorocznych Warszawskich, bez wymienienia jednak zrzódła skąd wzięty został.

Co zdołasz zasiać szczęśliwie,
Na serca, rozumu niwie,
Póki cię wiosna nie zmieni,
To w późnej zbierzesz jesieni.

Gdy stracisz młodość twą marnie,
Żal cię niewczesny ogarnie,
Przykry smutek przyjdzie z laty,
Lecz już nie nagrodzisz straty.

Korzystaj więc luba młodzi,
Z czasu co rychło uchodzi.
Dni wieku twojego złote,
Zbogać w naukę i cnotę.

Do Przyjaciół.

Człowiek jest losu igraszką,
Szczęście świata istną fraszką.

Niech więc myśl nasza ulata,
Za granice tego świata.

Tam wszystkich duchów krainie,
Wiecznych pociech strumień płynie,
Tam się przepędza wiek złoty,
Bez cierpienia i zgryzoty.

Człowiek zwany panem świata,
We łzach swe przebiega lata.
Choć niebieskim ogniem płonie,
Rodzi się na cierpień łonie.

A gdy w dozgonnym udziale,
Dostał smutek, tęskne żale,
Zabiegi nader próżnemi,
Szuka szczęścia na tej ziemi.

Wszystko na niej jest nietrwałe.
Weź wielkość, bogactwa, chwałę,
Szczęście, roskosz śmiertelnika,
Jestto dym co w chwili znika.

Niech więc myśl nasza ulata,
Za granice tego świata.
Tam się przepędza wiek złoty,
Bez cierpienia i zgryzoty.

Ucz się luba młodzi.

Ucz się, ucz się luba młodzi,
Nauka ci szczęście zrodzi.
Dla ciebie kwitną nadzieje,
Dla ciebie przyszłość się śmieje.

Wiek twój prawy nader sprzyja,
Nie jej nie przeszkodzi.

Lecz

Lecz gdy rychło wiek ten mija
.. Ucz się luba młodzi.

Niech cię trudność nie przeraża,
Traci kto na nią uważa.
Bo choć trudna jest nauka,
Znajdzie łatwo kto jej szuka.

Ona rozum twój oczyści
Z nią dobro przychodzi.
Dla dobra, dla twej korzyści,
Ucz się luba młodzi.

Bez nauki zdrożne wady,
Zatrą w tobie cnoty ślady.
Życie zatrujesz goryczą,
I staniesz się nędz zdobyczą.

Przyjdzie ten czas, że się tobie
Praca twa nagrodzi.
Chętnie zatem, w wiosny dobie,
Ucz się luba młodzi.

Jaś dobroczynny.

Jaś chłopiec mały
O cnotę dbały,
Wesół do domu raz wpada.
Przed ojcem staje
Radość wyznaje
Co serduszkiem jego włada.

— Jeśli mój synu
Z dobrego czynu,

Wesołość twoja się wszczyna,
I tyś szczęśliwy,
I ja szczęśliwy
Że cnotliwego mam syna.

—W niedawnej dobie
Biegając sobie,
Szerokiej dobiegłem drogi;
W tém rzucę okiem,
Aż wolnym krokiem
Zbliża się ku mnie ubogi.

I słabym głosem
Nad mym, rzekł, losem,
Ulituj się lube dziecie.
Pan co jest w niebie,
Przypomni ciebie
I nagrodzi ci obficie.

Moja się dusza
Głosem tym wzrusza.
Czując w sercu zlitowanie,
Co z sobą miałem,
Jemu oddałem
Całe oddałem śniadanie.

— Godzien pochwały,
Czyn twój wspaniały,
Lecz nie znasz nędz twych ogromu.
Wiedzieć ci trzeba,
Że kęsa chleba,
Niema, synu, w naszym domu.

— Ojcze! twe słowa
Pamięć ma chowa.
Wszakżeś tak nauczał syna;
Kto biednych wspiera,
Łzy ich ociera,
O tych Bóg nie zapomina.

Powieści.

Kasztany.

Mały Wincuś był niezmiernie łakomy: jak tylko dostał grosz jaki, zaraz go wydał na łakocie. Razu jednego, postrzegł na rynku piękne kasztany, a że ich nigdy nie widział przedtem, pytał się więc przekupki czy owoce te dobre są do jedzenia.

To są kasztany bardzo dobre, odrzekła przekupka; niech panicz je kupi, wyborne są zwłaszcza upieczone w popiele.

Wincuś wydał już pieniądze na inne owoce;

tajemnie zatem wziął garść kasztanów, i wsypał je do kieszeni tak, że przekupka nie postrzegła.

Wróciwszy do domu pobiegł natychmiast do kuchni; nie znalazłszy w niej nikogo, położył kasztany i przykrył je gorącym popiołem. Wnet zaczęły syczeć, co go mocno bawiło; aby zaś przyspieszyć ich upieczenie, położył jeszcze kilka rozpalonych węgli i zaczął mocno dmuchać.

Wtém jeden kasztan pękł z ogromnym trzaskiem. Popiół i węgle z taką mocą prysnęły mu na twarz, iż mu się zdało, że oczy stracił: biegał po kuchni płacząc i krzycząc jak oślepiony.

Trzask pękniętego kasztana i krzyk dziecka, sprowadził do kuchni wszystkich z domu. Wydała się kradzież. Mały złodziej musiał wycierpieć niezmierne bole, póki oczy jego nie zostały wyleczone. Wszakże żałował szczerze złego postępku i wypadek ten po-

prawił go nazawsze.

Miłość bliźniego.

Józef był ubogim ale uczciwym wieśniakiem. Korzystał z każdej sposobności, w której mógł komu zrobić przysługę, i wtenczas właśnie był najweselszym, kiedy się do wesołości innych przyczynił. To mu zjednało przyjaźń wszystkich sąsiadów, którzy, ile razy mogli, wypłacali mu się wzajemnością.

We wsi Józefa wszczął się raz pożar. Józef był chory. Już płomienie objęły dóm sąsiada jego Tomasza, z którego wicher przeniósł je na dach słomiany Józefa. W jednej chwili cały dóm był w ogniu.

Jak tylko to postrzegł Tomasz natychmiast pobiegł z pomocą choremu. Przyjaciele radzili mu, żeby raczej o ocaleniu własnego domu myślał, ale on im odpowiedział: „mój sąsiad chory i nie jest w stanie dać so-

bie

bie rady; pewny jestem, że liczy na moję pomoc.»

To rzekłszy rzucił się do domu Józefa, który cały już był w ogniu. Przedarłszy się aż do chorego, otoczonego płomieniami, wziął go na swe ramiona i wyniósł z domu. Józef zginąłby niezawodnie, ale przyjaźń sąsiada, będąca skutkiem jego życzliwości dla drugich, ocaliła mu życie.

Tchórz.

Wysłany przez ojca na wieś z różnemi narzędziami do kowala, Tomasz przechodząc późnym i ciemnym wieczorem przez las, spotkał się z Kominiarzem wracającym do miasta. Widok jego niezmiernym przejął Tomasza strachem. Ojciec jego bowiem nie wrażał mu, jak nierozsądną a nawet szkodliwą jest rzeczą wierzyć w strachy i upiory, których w naturze niema. Rzucił więc wszyst-

ku narzędzia i z całych sił zaczął uciekać przez krzaki i łomy, kilka razy upadł, zbił się, wreszcie powrócił do domu. Kominiarz śmiejąc się z jego trwogi, pozbierał rzucone narzędzia. Spytany przez ojca gdzie je podział, Tomasz odpowiedział, że gdy przechodził przez las, pokazał mu się czarny, ogromny upiór, który go tak przestraszył, że wszystkie narzędzia rzucił i uciekł. Dostał on wkrótce gorączki, na którą długo i niebezpiecznie chorował. Po niejakim czasie, kominiarz odniósł ojcu Tomasza zebrane narzędzia. Historya była głośną. Tomasz stał się celem pośmiewiska dzieci nawet i pogardzony był od wszystkich z przyczyny swego tchórzowstwa.

Złote drzewo.

Edward lubił żartować i zwodzić ludzi. Razu jednego, kiedy zajęty był pisaniem listu, do któ-

rego miał włożyć sześć dukatów leżących na stole, Emilka, mała jego siostrzyczka, weszła do jego pokoju, i uderzona blaskiem złotej monety, spytała: powiedz mi braciszku, gdzie rośnie złoto?

Dukaty, odpowie Edward, rosną na drzewach, które się nazywają drzewa złote: sieją się one jak groch, i wydają krzewy, na których potem wiszą dukaty w wielkiej ilości.

Spiesząc z ukończeniem listu, nie zważał na siostrę, która wzięła dukaty tak że on tego nie postrzegł, pobiegła do ogrodu i posiała je. Już Edward miał składać list, kiedy Emilka wbiegła i rzekła: ciesz się braciszku, będziesz miał niezadługo dużo dukatów, tylko co posiałam te co tu leżały.

Edward zerwał się jak oparzony, chwycił siostrę za rękę, i pobiegł z nią do ogrodu, krzycząc,

żeby mu pokazała miejsce gdzie posiada dukaty. Ale, czy dziecie nie mogło trafić na to miejsce, czy który z ludzi pracujących w ogrodzie znalazł je i zatrzymał, dosyć że dukaty zginęły.

Kiedy ojciec dowiedział się o tém, rzekł do Edwarda: sprawiedliwie zostałeś ukarany za twoje kłamstwo. Prawda, że Emilka nierozsądnie zrobiła, że siała dukaty, ale ty winniejszy jesteś, żeś oszukał siostrę; jeslibyś ty nie siał fałszu, onaby twoich dukatów nie posiada. Popraw się więc w tym haniebnym nałogu mówienia kłamstwa.

Próżniak.

„Smuci mnie, dziecię moje, i o los twój niespokojną czyni, ta nieszczęśliwa skłonność do próżnowania, którą w tobie oddawna widzę. Kiedy ci

guwerner naznaczy lekcyą, i kiedy się jéj uczyć powinieneś, ty, albo leżysz gnuśnie, albo odwiedzasz wszystkie kąty domu, i wszystkim się naprzykrzasz." Tak mówiła Pani Przyjemska do swego jedynaka syna, Roberta. „Pamiętaj, mój synu, że skutki próżnowania, już i teraz w tobie widoczne, coraz szkodliwszemi stawać się będą z wiekiem. Nie czujesz-że, czém jesteś wówczas, kiedy się próżnowaniu oddajesz? Jesteś słabym, niedołężnym, nudnym, nie czującym smaku w pełnieniu swych obowiązków, zaniedbującym modlitwy, przykrym dla siebie i dla drugich. Z próżnowania rodzą się wszystkie występki, tym więc moje dziecię do wszystkich się sposobisz występków, kiedy do próżnowania skłonnym się okazujesz. Bóg przeznaczył człowieka do pracy, więc kto nie pracuje, sprzeciwia się rozporządzeniu boskiemu, będzie musiał zdać przed nim rachunek z cza-

ku jemu powierzonego, którego nie użył, jak powinien, na zbogacenie serca i umysłu cnotami i nauką. Cnota i nauka tylko do rzetelnego szczęścia prowadzą. Kiedyż ich nabędziesz, jeśli wiek twój młody w nieczynności przepędzisz? Nie nabędziesz nigdy, i staniesz się przyczyną własnej zguby a dla mnie największego zmartwienia, że za moją miłość ku tobie, i troskliwość o twoje szczęście wypłaciłeś się niewdzięcznością, przez oddanie się próżnowaniu."

Robert słuchał tej mowy, ale widać było, że myśl jego zajęta była czém innem, zapewne jaką swawolą. Oddany wkrótce został do szkoły, w której nauczyciele uczyli dzieci wiele przyjemnych i pożytecznych rzeczy. Mówili im, czego trzeba żeby zostać szczęśliwym, opowiadali co jest ważniejszego w swoim kraju i w obcych, i co godnego pamięci zdarzyło się w wiekach upłynionych; uczyli ich poznawać

wać różne rodzaje zwierząt, roślin i minerałów. Wielkiej liczbie dzieci wszystko to bardzo się podobało. Stawały się one coraz rozumniejszemi i lepszemi. Ale nie tak było z Robertem. Nigdy on nie uważał co mówił nauczyciel, i kiedy jego koledzy starali się korzystać z wykładanej im nauki, on albo im figle robił, albo się bawił cackami które z domu przynosił. To nierozsądne postępowanie, ta jego nieczynność, miały najgorsze skutki. Inne dzieci poszły do wyższych klas, on musiał pozostać w niższej; a kiedy inni byli chwaleni i prywatnie i publicznie, on, i prywatnie i publicznie, odbierał naganę. Po dziesięcioletnim pobycie w różnych szkołach, powrócił do domu, tak ciemny na umyśle, że od wszystkich był pogardzony. Nie umiejąc niczem użytecznem się zająć, oddany ciągle gnuśnej nieczynności, zaciągnął występne nałogi i przyprowadził matkę do tego, że własny majątek, bo oj-

cie Roberta nie miał żadnego, zapisała synowcowi, a Robert z rozpusty i pijaństwa, tych naturalnych skutków próżnowania, wnędzy zakończył życie.

Pieniądze.

Ojciec jeden dawał niekiedy pięciu synom swoim, do wolnego ich rozporządzenia, niewielką kwotę pieniędzy. Dwaj z nich, chociaż im w domu rodziców na niczem nie zbywało, tracili te pieniądze na cukierki, pierniki i inne łakocie, przeto ich kieszeń była zawsze pusta. Dwaj drudzy zbierali je skrzętnie, nigdy z nich na nic nie wydali ani grosza, i największą mieli przyjemność liczyć je codzień po kilkanaście razy. Jeden tylko ani tracił na łakocie jak dwaj pierwsi, ani jak drudzy zbierał i chował

nał, a jednak pieniędzy nie miał. Na cóż więc je obracał, spytacie. Oto kupował za nie albo piękne ryciny, albo karty geograficzne, albo książki i inne rzeczy, które do zabawy lub nauki jego służyć mogły. Część zaś kassy swojej przeznaczał zawsze dla ubogich, bo serce jego dobroczynne litowało się nad nędzą.

Ojciec, który w celu poznania skłonności swych synów, troskliwie uważał, jak pieniędzy swoich używają, wezwał ich do siebie i rzekł: Widzę, Kochane dziatki, że nie wszyscy jednostajnie korzystacie z pieniędzy które wam daję. Wy, coście je potracili na łakocie, macież z nich teraz jakikolwiek pożytek? Przyjemność wasza w czasie, kiedyście jej dogodzili, znikła, a może nawet złe, albo w zdrowiu waszem, albo w waszych skłonnościach, zrządziła skutki.

Wy drudzy macie wprawdzie pieniądze, ale ja-

każ one wam przynoszą korzyść? to samo byłoby, gdybyście ich zgoła nie mieli. Chowacie je dla tego tylko żeby je mieć, a to oznacza skąpstwo i jest brzydką wadą.

Ty jeden tylko, mój synu, najlepiej pieniędzy twoich użyłeś, nabywając za nie pożyteczne rzeczy, albo dając wsparcie biednym: bo też takie jest właśnie przeznaczenie pieniędzy. Dobre tylko ich użycie nadaje im wartość, złe zaś użycie czyni je raczej szkodliwemi jak użytecznemi.

Z tych uwag ojca dzieci odniosły korzyść; równie bowiem brudnego skąpstwa jak szkodliwej rozrzutności starały się unikać.

Nieposłuszeństwo.

Bronisław często był przestrzegany od rodziców, żeby towarzystwa z Henrykiem unikał. Chciał on dowiedzieć się o przyczynie tego zakazu, ale całą od-

powiedzią

powiedzią rodziców było, że dziecię dobre i uległe, powinno pełnić wszystko co mu rodzice każą, a czego zabraniają unikać, chociażby tego zakazu lub roskazu nie była mu wiadoma przyczyna. Wiedzą bowiem rodzice co jest z pożytkiem dla ich dzieci i nadto je kochają żeby im szkodliwie radzić mieli.

Bronisław musiał przestać na téj odpowiedzi, i unikać wszelkiego z Henrykiem towarzystwa.

W kilka dni rodzice wyjechali do jednego z sąsiadów. Wtenczas chęć widzenia się z Henrykiem całkiem opanowała Bronisława. I dla czegożbym, mówił, niemiał odwiedzić Henryka, który tak jest dobry i miły? Sądzę, że rodzice niechcą mnie wszelkiej przyjemności pozbawić. Prawda, że jak się dowiedzą że byłem im nieposłuszny, mogę zostać ukarany, ~~ale~~ jakim sposobem będą się mogli o tém dowiedzieć? Henryk mnie nie wyda, a ja głębokie o tém

zachowam milczenie. Owoż płoche i nieposłuszne dziecko bie-
ży do Henryka, który niezmiernie był ucieszony, że go po dłu-
giem niewidzeniu się zobaczył. Żeby razem użyć wesoło czasu,
zaprosił inne jeszcze dzieci. Gdy zaś dóm, do zabawy, którą
chcieli się zająć, nie był dość obszerny, pobiegli do ogrodu
jednego z sąsiadów, którego brama przypadkiem była otwar-
tą. W hasaniu i swawoli żadnej nie zachowali miary. Fi-
jołki, róże, lewkonije, georginy zostały połamane i zde-
ptane: niemało wazonow z rzadkiemi roślinami wywró-
cili i potłukli. Bronisław w towarzystwie małych
szaleńców całkiem się zapomniał, i na myśl mu nawet
nie przyszło, że skutkiem tej swawoli, spotkać go mo-
gą niemiłe następstwa.

Tymczasem wchodzi właściciel ogrodu, i postrze-
ga spustoszenie i szkody zrządzone. A że to był czło-
wiek bardzo gwałtowny, porwał więc natychmiast kij,
którego miał użyć na małych szkodników, lecz ci, przez
otwartą bramę uciekli. Nie uszli jednak kary. Wła-

ściciel ogrodu udał się nazajutrz do szkoły, wszystkich którzy w ogrodzie byli wymienił, i zrządzone przez nich szkody opisał. Nauczyciel zdziwiony, że ma w szkole swojej takich ladaco chłopców, ukarał wszystkich, nie wyjmując i Bronisława który powrócił do domu płacząc i szlochając. Ale rodzice żadnej nad nim nie okazali litości. Bardzo dobrze zrobił nauczyciel, rzekli, ale on ukarał cię tylko za szkody w ogrodzie poczynione. Za to zaś żeś był nieposłuszny rodzicom, będziesz przez trzy dni o chlebie i wodzie.

Była to cięzka bardzo kara dla Bronisława, który był nieco obżarty: uczynił więc postanowienie słuchać odtąd zawsze rodziców.

Przyjaciółka ubogich.

Największą było roskoszą Zofii wspierać

ubogie dzieci. Między innemi poznała ona ubogą dziewczynkę, imieniem Różę, którą bardzo polubiła. Najmilszą dla niej było rzeczą dzielić się z nią podwieczorkiem, i za oszczędzone pieniądze, sprawiać dla niej odzienie, kupować książki.

Dobrodziejstwa te tak ujęły Różę, iż starała się korzystać z każdej zręczności, w której usłużyć czemkolwiek, albo jaką przyjemność sprawić Zofji mogła. Przychodziła po kilka razy na dzień, aby się dowiedzieć, czy nie życzy użyć jej do jakiej roboty, i skoro Zofia oświadczyła, że chce aby co było zrobionem, dziewczynka z największą radością brała się zaraz do pracy.

Przyszedłszy razu jednego do domu Zofii, a wiedząc, że ubogim wchodzić samym do pokojów nie należy, czekała, podług zwyczaju, przy wschodach, póki nie przyjdzie Zofia. Ale się jej doczekać nie mogła.

Przyszła

Przyszła jeszcze tegoż dnia dwa razy i także jej nie ujrzała. Powtórzyła toż samo w dwóch dniach następnych, lecz Zofii zawsze nie widać było.

Nie wiedziała Róża co o tem sądzić. Zapewne być musi, mówiła do siebie, żem obraziła Zofią. Ach! gdybym wiedzieć mogła, czém to zrobiłam, prosiłabym ją ze łzami o przebaczenie. Ja ją tak kocham.

Mając różnemi domysłami zajętą głowę, spotyka się ze służącą Zofii. Proszę mi powiedzieć, rzecze do niej, gdzie jest panna Zofia?

Panna Zofia, odpowie służąca, chora na gorączkę, i Bóg wie co się z nią stanie.

Co? zawołała Róża, Zofia chora! O jakżem ja nieszczęśliwa! O moja kochana panienko! nie: ja nie dozwolę ci umrzeć.

I wnet pobiegła do pokoju Zofii, a spotkawszy jej matkę, pozwól mi, pani, rzecze, pójść do panienki: ja muszę ją widzieć. Matka chciała wstrzymać dziew-

czynkę, ale ona gwałtem prawie wparła się do pokoju chorej.

Biedna Zofia leżała w gorączce, smutna, cierpiąca, sama jedna, bo wszystkie przyjaciółki ją opuściły.

Róża ze łzami w oczach przystąpiła do łóżka, wzięła rękę chorej i rzekła: Boże! w jakimże stanie znajduję panienkę, jakbyś wkrótce umrzeć miała. Nie umierając, nie porzucaj nas. Cóż się stanie ze mną biedną dziewczyną, jeśli nie będzie panny Zofii. Dzień i noc nie odstąpię panienki, czuwać nad nią, doglądać jej będę, bylebyś tylko nie umarła. Dozwól mi tu pozostać. Zofia ścisnęła jej rękę, i dała poznać, że jej obecność jest dla niej nader pożądana.

Tym sposobem Róża, otrzymawszy pozwolenie swoich rodziców, strzegła ciągle Zofii. Dzień i noc nie odstępowała od łóżka chorej. Poprawiała poduszkę, przynosiła posiłek, zabawki, śpiewała różne pieśni, i wszystko co mogła czyniła, aby jej sprawić

ulgę

ulgę. Tak dni smutne jeden po drugim upływały, i chora bynajmniej się nie nudziła.

Zofia zaczęła powoli odzyskiwać zdrowie, boleści ustały, apetyt powrócił.

Czémże cię nagrodzę, rzekła wtenczas do Róży, za wszystko coś mi w czasie mojéj choroby uczyniła? Róża odpowiedziała, że przeszłe jéj łaski, dostateczną są dla niéj nagrodą.

Mało tego było dla Zofii. Prosiła więc ojca, aby jéj wskazał, czémby wdzięczność swą Róży okazać mogła. Ojciec szczęśliwy że kochana jego córka już zdrowa, obowiązek wynagrodzenia Róży przyjął na siebie. Kazał zrobić dla niéj suknię i oddał ją Zofii, która natychmiast ubrała w nią Różę. Co za radość była wszystkich. Rodzice Zofii cieszyli się zdrowiem córki, Zofia nagrodą usług Róży, ta zaś uszczęśliwiona była zdrowiem Zofii i piękną sukienką.

Ojciec Zofii, który w każdem zdarzeniu, starał

nij dać córce swojéj pożyteczną naukę, rzekł do niéj: wi-
dzisz kochane dziecię, że nawet w tém życiu, dobre postępki
odbierają częstokroć nagrodę. Pamiętasz to miejsce pisma
ś. „Błogosławiony który ma baczenie na potrzebnego
i ubogiego, w dzień zły wybawi go Pan, Pan go za-
chowa, ożywi .... i wspomoże na łożu niemocy jego ".
(Psalm 40) Te wyrazy spełniły się na tobie, nie zapomi-
naj o nich nigdy; bądź zawsze przyjaciółką ubogich,
a Bóg będzie twoim przyjacielem.

Karol i Anzelm.

I.

W niewielkim miasteczku na Podlasiu, miesz-
kał niegdyś w pięknym, gotyckim pałacu Karol.
Nie odziedziczył on po rodzicach majątku, lecz ślepe
szczęście chciało okazać nad nim swój tryumf. Oddany

przez

przez rodziców w młodym wieku na usługi do jednego obywatela majętnego a bezdzietnego, tyle go ujął swemi pochlebstwy, a więcej ocaleniem jego życia w czasie niebezpiecznej przeprawy przez rzekę, iż ten umierając zapisał mu swój pałac, bogate sprzęty i niemałe kapitały. Pogrążony w próżnowaniu, nie mający żadnej nauki, Karol oddał się całkiem zbytkom i rozpuście. Całe dnie i noce przepędzał na biesiadach, w kole swawolnej i wolnomyślnej młodzieży, o którą i wtenczas nietrudno było. Jednego dnia, kiedy Karol dawał świetny wieczór, na który ostatki wydobył pieniężnego zapasu, śród okrzyków radości, jeden ze służących wpada i woła: Tatarzy! Tatarzy! Nie było innego środka ratowania się prócz ucieczki. Karol był podobno pierwszym z uciekających. Tatarzy tymczasem wpadli do domu, wszystkie jego kryjówki przejrzeli, rzeczy kosztowniejsze zabrali, resztę zniszczyli i pałac płomieniom oddali.

11.

W kilka miesięcy, w jednem miasteczku przy drzwiach parafijalnego kościoła siedział ubogi; wyciągał rękę do każdego przechodzącego prosząc o jałmużnę. Wchodzący do kościoła rzucali od niechcenia wzrok na niego, jedni drugim coś szeptali na ucho, zdawali się czuć litość, ale nie raczyli okazać jej chętnie. Z kilkuset którzy weszli do kościoła, ledwo jeden czy dwóch rzucili mu po groszu. Panie Krajczycu, spójrz na moją nędzę, i wesprzyj mnie łaskawie. Zlitujcie się nademną, zlitujcie się nademną przynajmniej wy przyjaciele moi: tak mówił ubogi, a pan Krajczyc spojrzał na niego z pogardą i splunął w uczuciu obrzydzenia, jakie w nim wzbudziły brudna odzież i twarz szpetnie zarosła. O Boże! jakżem nieszczęśliwy, mówił dalej ubogi, ten, którego za największego miałem przyjaciela, który miał nim być do grobu, znać mnie teraz nie chce! ten za-

łuje

tuje mi jednego grosza, dla którego ja nie żałowałem tysięcy. O Boże! jakże jestem nieszczęśliwy! Ubogi zaczął płakać rzewnie, a przechodzący jedni drugich pytali, czego ubogi płacze.

Mogłyście się domyśleć, kochane dziatki, że tym ubogim był Karol. Cóż go do tego stanu przyprowadziło? Miał pałac, w pałacu wiele kosztownych rzeczy, miał wielkie pieniądze. Ale pałac spalili Tatarzy, kosztowne rzeczy zabrali, a pieniądze sam roztrwonił. Lecz przyczyna jego ubóstwa w nim samym była. Nie odebrał on żadnego wychowania, ciemny był na umyśle, nie umiał żadnego rzemiosła, nie umiał nawet czytać i pisać; straciwszy wszystko, nie był w stanie zarobić na utrzymanie życia. Przyjęł był wprawdzie w jednym domu obowiązek lokaja, lecz nie mając żadnej do niego wprawy, wkrótce oddalony został. Podejmował się potem różnych najniż-

tych posług, ale przyzwyczajony do próżnowania, i nie mając dość siły do należytego ich wypełnienia, musiał, nie mając innego źródła utrzymania się, uledz smutnej potrzebie żebrania.

III.

Jednego dnia siedział Karol na gołej ziemi, przy domie jednego z tych, co, kiedy mu gwiazda szczęścia świeciła, serdecznymi się jego mienili przyjaciołmi. Nędza wyryła na nim okropne ślady; oko zapadłe, oblicze wychudzone, blade, włosy w największym nieładzie, odzież najnędzniejsza, nogi bez obuwia; głowa zwieszona na piersi nie podnosiła się wtenczas nawet, kiedy słysząc kogo przechodzącego, słabym głosem o jałmużnę prosił. Jeden jegomość przechodząc koło niego sięgnął do kieszeni, i włożył mu w rękę złotówkę; dawno już z takim skarbem

nie widział się Karol. Podnosi więc głowę i okrywa błogosławieństwy nieznajomego dobroczyńcę. Cóż to ja widzę o Boże, zawołał nieznajomy, tyżeś to Karolu, ciebież to los z łona obfitości do tej strącił niedoli? ciebież to ja widzę mój bracie?.. Karol zwiesił znowu głowę, i po chwili milczenia odpowiedział: tak! jestem twoim bratem, ale niegodnym żebyś o nim pamiętał; w dniach wesela i uciech, które niedługo mi świeciły, pogardziłem tobą, dla tego, że ubogim byłeś, odmówiłem ci wsparcia, niegodzien przeto jestem twego; weź twój dar i zapomnij o mnie. Nie zważając na to Anzelm, to było imię brata Karola, rzucił mu się na szyję i ściskając go czule, o! nigdy, rzecze, nigdy to być nie może, żebym ja tobą pogardził; tyś moim bratem, jedna krew w nas płynie; chodź ze mną, podziel się z tobą obfitością moją.

IV.

Rodzice Anzelma i Karola przy szczupłym funduszu, ciągłemi dręczeni chorobami i idącym za niemi niedostatkiem, jak tylko otrzymali wiadomość, że starszy syn ich Karol, po śmierci swego pana, fortuny jego został dziedzicem, wysłali do niego Anzelma w nadziei otrzymania znakomitego wsparcia. Ale nadzieja ich omyliła; bo Karol, którego wstydziło ubóstwo brata, nic mu nie dawszy wyprawił niezwłocznie z domu swego, zapewniając go przytem, iż na przyszłość niczego od niego spodziewać się nie powinni. Wiadomość ta, przytem ciągła choroba, w ciągu jednego roku wtrąciły do grobu ojca i matkę. Wtenczas Anzelm oddawszy w dzierżawę ziemię, której sam jeden ostatnią wolą ojca został dziedzicem, udał się do bliskiej szkoły, gdzie odznaczył się nad-

kas

ką pilnością i łatwem pojmowaniem nauk, których już w domu wziął pierwsze zasady. Osiadłszy na rodzicielskiej ziemi, wkrótce, pracą, przemysłem, oszczędnością, rozsądną spekulacyą, tak znacznie powiększył swoje dochody, iż był w stanie zebrać summę, za którą kupił w dziedzictwie niewielki z poddanymi folwark. Połączył się nakoniec z córką jednego kapitalisty, po której znaczny otrzymał posag, i przy ciągłej pracy, porządku, umiejętnie prowadzonej gospodarce, powiększając coraz fortunę, do zamożnego przyszedł stanu. Karol zostając w domu brata, poznał spokojność i szczęście, lecz niedługo niemi się cieszył, bo mając zdrowie naprzód zbytkiem i rozpustą, potem nędzą i niedostatkiem zrujnowane, w kilka miesięcy po przeniesieniu się do domu Anzelma, zakończył życie.

Niebezpieczeństwo tajenia swych błędów.

„Bądź uległym i przywiązanym do swych rodziców, przyjemnym i ujmującym dla sióstr i braci; wiernym dla przyjaciół, zobowiązującym dla sąsiadów, słodkim i uprzejmym dla wszystkich, lecz nadewszystko mów zawsze prawdę". Tak uczyła swego ukochanego syna trzymając go na kolanach troskliwa i czuła matka, starając się wcześnie zaszczepić w sercu jego pierwsze zasady moralności. „Niechaj największe korzyści, mówiła dalej, nie zdołają cię odwieść od mówienia prawdy, ona bowiem, wierz mi moje dziecię, ona jest zasadą cnót wszystkich. Jeżeli kiedy spotka cię nieszczęście iż się dopuścisz jakiego wykroczenia, wyznaj je natychmiast; czyn ten szczerości zawsze mnie pobudzi do

złagodzenia twej kary, jeśli nie będę mogła przebaczyć zupełnie. Lecz jeśli błąd twój ukrywać, jeśli go taić przez czas długi będziesz, pamiętaj, iż masz świadka w niebie, który widzi wszystkie twoje czynności, a tym świadkiem jest Bóg.

Powiadają o Petrarku sławnym poecie włoskim, który żył w 14 wieku, iż ~~gdy~~ kiedy będąc w Awenijonie odwiedził kardynała Kolonnę, wszczął się w pałacu tego prałata spór tak zacięty, iż nawet użyto broni i niektóry zostali ranieni. Kardynał sprawiedliwie tem oburzony, wszystkim którzy w tej chwili znajdowali się w pałacu, roskazał stanąć przed sobą, chcąc się o tym wypadku objaśnić: lecz wprzód nim przystąpił do wysłuchania każdego, kazał wszystkim przysiądz na Ewangeliją, iż szczerze powiedzą co widzieli; brat

nawet kardynała nie był od tego wyjęty. Kiedy z kolei stawił się także i Petrark, kardynał zamykając księgę, Petrarku, rzecze, dość twego słowa. Chociaż od tego czasu więcej jak czterysta lat upłynęło, jednak zdarzenie to zostało zachowaném we wszystkich historyach o tym sławnym mężu, z tą czcią i poszanowaniem jakie się należy prawdzie.

Nie lubię też i owych kłamstw które nazywają niewinnemi; prawda jest zbyt świętą, żeby z niej wolno było żartować. Te lekkie kłamstwa prowadzą stopniami do większych. Niektórzy dla przyozdobienia swej mowy, żadnego nie mając skrupułu wprowadzać do niej rzeczy zmyślone, lecz opowiadane z takim prawdopodobieństwa tonem, że słuchacze dawali im zupełną wiarę i z nowemi dodatkami wiadomości tych udzielali innym; a tak

prawdziwy wypadek przez wiele ust przeszedłszy do tego stopnia został zmieniony, iż z trudnością można go było rozpoznać pośród dekoracyj, jakiemi przyozdobiła go wyobraźnia. Rodzaj ten kłamstwa bywa czasem niebezpieczny, a zawsze jest godny wzgardy. Strzeż się więc, dziecię moje, przekraczać granice prawdy. Jedno fałszywe twierdzenie ciągnie za sobą drugie, następnie błąd - do błędu przyrasta, a wkońcu występek tak staje się wielkim, iż samo o nim pomyślenie trwogą mnie przejmuje. Abyś się zastrzegł występku kłamstwa i tajenia swych błędów, słuchaj co ci powiem o niedawno zdarzonym jednym wypadku.

Rozalia dziewczyna dobra i cnotliwa miała powierzonego dozorowi swemu małego Ferdynanda Błęwil. Była ona córką ubogiej lecz cnotliwej wdowy, która z wielkim trudem i pracą, siebie i dwoje naj-

młodszych dzieci swoich utrzymywała. Miłe udożenie Rozalii, jéj dobroć i gorliwość z jaką sprawowała swe obowiązki, zjednały dla niéj względy P.ⁱ Blęwil., wesołość zaś i słodycz charakteru czyniły ją miłą w oczach towarzyszek.

Kiedy Ferdynand doszedł tego wieku, w którym synowie wychodzą z rąk kobiet i oddają się pod dozor guwernera, Rozalia przeszła do usług przy P.ⁱ Blęwil jako panna pokojowa. To podwyższenie było nagrodą jéj zasług; cieszyli się z tego wszyscy widząc, że zasłużyła na to, lecz największą uczuła stąd radość matka Rozalii, która widziała w tem dowód chwalebnego prowadzenia się swej córki.

Mały Ferdynand, nikogo, wyjąwszy ojca i matkę, tyle nie kochał ile Rozalię. Ona też z najczulszem była dla niego przywiązaniem, i tak wielkie miała o nim nadzieje, iż wcześnie widziała w nim przyszłego bohatyra, który świat cały zadziwi wielkością

się swych czynów.

Śród takiej pomyślności Rozalii zdarzył się wypadek, który ją okrył niesławą, gdyż posądzoną została o występek kradzieży.

Obowiązkiem jej było utrzymywać porządek w pokoju sypialnym Pⁱ Blęwil, która takie w niej pokładała zaufanie, iż nie wahała się powierzyć jej dozorowi najdroższe swe klejnoty. Znalazła je zawsze zawinięte w bawełnę; i we właściwem miejscu złożone.

Jednego razu Pⁱ Blęwil zapotrzebowała zegarka i znaleźć go nie mogła. Zegarek ten wysokiej wartości, osypany brylantami, otrzymała w dzień swego ślubu, w darze od matki, lecz najszacowniejszym był on dla niej z tej przyczyny, że miał na sobie miniaturę jej ojca.

Pⁱ Blęwil pyta Rozalią gdzie się zegarek podział; ta odpowiedziała iż położyła w zwyczajnem

miejs-

miejscu, iż go przed kilku dniami takze widziała, i że zresztą niewie jakim sposobem mógł się zatracić". Pytano się domowych ludzi, nawet małego Ferdynanda, wszystkich odpowiedź była jedna, iż go nie tylko nie brali, lecz że ani widzieli nawet. Zegarek zginął, a nikt nie wie jakim sposobem.

Nakoniec podejrzenie padło na Rozalię, jako jedyną osobę mającą wstęp do pokoju sypialnego. Kiedy raz podejrzenie się zjawi, imaginacya stawi tysiąc okoliczności na jego stwierdzenie. P.ⁱ Błęwil niechętnie wprawdzie obwiniała w duszy Rozalię, lecz któż jest winnym, mówiła do siebie, jeśli nie ona? Klucz był w jej ręku, zamek nieuszkodzony; jeśli sama zegarka nie wzięła, to nie mógł być wzięty bez jej wiedzy; dozwalać zaś komu występku, to samo jest co go popełniać; te uwagi pokazały się dostatecznemi do uznania Rozalii za występną, potępiła ją więc w swem sercu, wymawiając sobie, iż sama naraziła ją na pokusę.

Wiadomi

Wiadomi mniemania swej pani, służący podobnie trzymali o Rozalii, i mimo licznych ze strony jej zapewnień o niewinności, wszelkie z nią zerwali stosunki. Przez wzgląd jednak na dawne nienaganne jej prowadzenie się i długie usługi, P.ⁱ Blęwil dozwoliła jej mieszkać w swym domu, póki by sobie nowego nie znalazła miejsca. Ale wszystkie jej starania w wyszukaniu nowej służby okazały się daremnemi; któżby w rzeczy samej chciał przyjąć do domu swego podejrzaną o tak haniebny występek? jej niewdzięczność dla tak dobrej pani, jej niewierność i obłuda wszystkich mów były przedmiotem. Tak złą miano o niej wszędzie opiniję, iż gdy przyszedł termin dozwolonego jej u P.ⁱ Blęwil pobytu, Rozalia widziała się zmuszoną opuścić jej dom, i osoby do których szczerze była przywiązaną, opuścić bez żadnego innego widoku nad powrót do swej matki. Ale zanosić pod niziką strzechę ubogiego domku, niesławę tak haniebnyo

nyo

nego wydarzenia, było dla niej najboleśniejszym ciosem. Przejęta rozpaczą, już myśliła puścić się na życie tułacze i żebracze, lecz przywiązanie do matki myśl tę w niej stłumiło. Nie mogąc zatem skłonić się do rozstania się z matką, zdała się na wolę Opatrzności mając nadzieję, że ona prędzej czy później wyświeci jej niewinność.

Biedna Rozalia ułożywszy swe rzeczy przyszła pożegnać swą panią. Drżąca i blada weszła do pokoju, w którym Pani Blęmil, mając przy sobie syna, zajęta była robotą. Chociaż ta dama uważała Rozalię za winną, przyjęła ją jednak uprzejmie z uczuciem litości nad jej wykroczeniem i życzliwością za dawniejsze usługi. Nie chcąc nanowo zasmucać jej wymówkami, w sposób nader szlachetny życzyła jej szczęśliwego losu. Widząc, że się ociąga z wyjściem, pyta się, czy nie ma czego powiedzieć. Biedna Rozalia z twarzą najspokojniejszą, chcę, rzecze, po raz ostatni zapewnić cię pani o mojej niewinności, i prosić o dalsze jej względy dla mej matki.

Podczas

Podczas tej mowy P.ⁱ Błęwil zwróciła oczy na Rozalię, której smutna postać zdawała się usprawiedliwiać ją z zarzutu. Czuła się mocno wzruszoną; lecz na wspomnienie zegarka, zamknęła serce dla litości, i odpowiedziała dosyć oziębłe że nic jej nie przyrzeka.

Tymczasem Ferdynand mając łzami zalane oczy odszedł na stronę i siedział w milczeniu. Rozalia podeszła do niego, on rzucił się w jej objęcie: uściskała go najczulej i stłumionym głosem życzyła mu wszelkiego dobra. Poczém pożegnawszy P. Błęwil, chwiejąc się wychodzi z pokoju, gdy w tém głos Ferdynanda przyzywa ją na powrót. Rozalia nie pójdzie stąd, wołał on łkając, nie, ona stąd nie pójdzie, ona jest niewinną. I padając do nóg matki, czy przebaczy mi mama, rzecze, jeśli powiem prawdę?

Zdziwiona i trwogą zdjęta P.ⁱ Błęwil podnosi syna. Cóż mam ci przebaczyć dziecię moje? nie mu-

ciełeś wziąć zegarka, bo zapewne nie zniósłbyś żeby Roza-lia przez tak długi czas okrytą była hańbą występku kradzieży; wyznałbyś twe wykroczenie i Rozalii oddana byłaby sprawiedliwość.

— Ztém wszystkiém istotną jest prawdą, że ja go wziąłem. Ale ten postępek tak mi się wydał nagannym, iż codzień więcéj wstydziłem się go wyznać. Trzeba było widzieć Rozalię rozstającą się z nami, żebym się zdobył na męstwo do odkrycia błędu mego.

— Cożeś zrobił z zegarkiem?

— Jest on w sadzawce.

— Rzecz prawdziwie niepojęta; wziąć zegarek bez wiedzy Rozalii i wrzucić go do sadzawki. Możeż sądzić żeby syn mój mógł się dopuścić kradzieży i takiego zmysłenia?

— Upewniam mamę, rzecze Ferdynand, że zegarek znajduje się w sadzawce.

Rozalia widząc przedmiot swego przywiązania przyznającego się do kradzieży, uczuła stąd boleść pra-

wie

nie taką, jak owczas kiedy obwinianą była o ten występek, jakby przykuta stała na progu, nie mogąc ani dalej postąpić ani się cofnąć.

Cóż to ja słyszę, rzekła z uczuciem P.ⁱ Blęwil, czy pojmuje to Rozalia?

— Bynajmniej, pani, odpowie Rozalia. Przypuścić nawet nie mogę żeby Ferdynand mógł wziąć zegarek. Może (w tém zalała się łzami) może to tylko chęcią ocalenia mnie powodowany, za winnego się uznaje.

Cokolwiekbądź, rzecze P.ⁱ Blęwil, ſadzawka zostanie oczyszczoną. Jeśli zegarek się znajdzie, niewinność twoja Rozalio będzie jawnie uznaną. Lecz jeśli go tam znajdą, syn mój ... zatrzymała się i ciężko westchnęła.

Niech się pani nie wzrusza, rzecze szlachetna Rozalia. Bądź pewną że Ferdynand jest niewinny i pozwól mi wrócić do mojej matki.

Nie, nie, zawołał Ferdynand, nie zniosę tego żebyś cierpiała za moją winę. Dosyć byłem zły, dłużéj być nim nie chcę; a ponieważ mama każe oczyścić sadzawkę, przekona się że nie zmyślam.

Lecz kiedy, jakim sposobem, wziąłeś zegarek, pyta P.ⁱ Blęwil, mów szczérą prawdę.

— Będę mamie posłuszny. Rozalia była zajęta w pokoju sypialnym, kiedy ją Betty wezwała, donosząc że ma wiadomość od choréj matki. Rozalia niezwłocznie wyszła. Widząc drzwi pokoju otwarte, wszedłem do niego i ujrzałem zegarek wiszący na zwierciadle. Chciałem go mieć, bo miał go mój przyjaciel Remont, schowałem go więc do kieszeni, mając zamiar strzedz go pilnie a potem oddać Rozalii, która, jakem się spodziewał, przebaczyłaby mi ten postępek, jeśliby m zegarek zwrócił nieuszkodzony. Pobiegłem z nim do ogrodu i wyjąwszy z kieszeni przykładałem sobie do ucha. Idąc brzegiem sadzawki nie dałem baczności na me kroki, poślizgnąłem się i upadłem. Zatrudniony powstawaniem z

ziemi

ziemi, zapomniałem o zegarku, który wymknął mi się z rąk i wpadł do sadzawki, skąd przy największém usiłowaniu wydobyć go nie mogłem i gdzie dotąd zostawać musi. Oto jest istotna prawda. Racz, kochana mamo, przydał pokornym i błagalnym tonem, racz mi przebaczyć moje wykroczenie, racz także przebaczyć Rozalii i przywróć jéj pierwsze względy których nie stała się niegodną.

— Niesłusznie Ferdynandzie prosisz o przebaczenie dla Rozalii, jeśli sam jesteś winien, sam też tylko potrzebujesz przebaczenia.

Dla przekonania się o prawdzie zeznań Ferdynanda, P. Blewil rozkazała niezwłocznie oczyścić sadzawkę dosyć szeroką i głęboką. Przez kilka dni praca była ~~była~~ daremną. Ferdynand nie odstępował od robotników. Jednej minuty nie wyciągnięto któréjby badawcze jego oko dobrze nie obejrzało. Nakoniec po-

stnego przyczyną tylko też, takiego żalu, takiéj niespokojności. Zanurza rękę do mułu, wyciąga z niego zegarek z uczuciem żywej radości i bieży rzucić się do nóg matki, któréj pokazuje świadectwo swego błędu a niewinności Rozalii. Rzuciwszy się potem na łono P. Błęwil błagał na nowo przebaczenia. Otrzymał je nie wprzód jednak aż odebrał surowe napomnienie. Było ono bardzo sprawiedliwe. Ukrywając swój występek, stał się przyczyną oddalenia cnotliwej osoby, która, utratą łaski jéj pani, możeby o chorobę a nawet o śmierć przyprawiła; i gdyby mocne wzruszenie serca jego nie wzięło przewagi nad uczuciem wstydu, musiałby całe życie doświadczać ciężkich zgryzot sumienia, które, powstając przeciw niemu, pokojuby mu nie dawały.

Pni Błęwil posłała po Rozalią która wnet przybyła. Ponieważ już wiedziała o znalezieniu zguby, lekki uśmiech zmieszał się z jéj łzami. Chwyciła Ferdynanda w swoje objęcia, pieściła się z nim czule, i tylko

wymawiać

wymawiała mu, że nie przestawał płakać.

Moja kochana Rozalio, rzekła do niej Pani Błęwil, mocno mnie to cieszy, żeś zupełnie uniewinniona. Daj o tem wiedzieć twojej dobrej matce, i zapewnij ją razem, iż więcej niż kiedy doświadczać będziesz mych względów.

Nazbyt wzruszona tém co zaszło Rozalia nie mogła słowa przemówić, ucałowała tylko ręce swej pani, a wróciwszy do swego pokoju, najżywsze dzięki złożyła Bogu obrońcy niewinności. Wszyscy domowi powinszowali jej pomyślnej zmiany. Odzyskała ona stracone miejsce a razem przywiązanie i ufność wszystkich.

Prawda że Ferdynand odwlekając wyznanie był przyczyną, iż nader późno oddana została sprawiedliwość ofierze jego błędu, lecz zawsze z jego strony była to rzecz piękna i chwalebna, że to wyznanie, choć

ciąż

ciał późno uczynić. Uczuł on mocno swój postępek, a pamięć jego błędu była równie pożyteczną, jak trwałą. Odtąd odznaczał się on zawsze szczérością i otwartością, równie w domu jak w szkole, był on w tem podobny do Petrarka. Dość było jego twierdzenia, żeby mu natychmiast uwierzono. Gdy tymczasem współuczniów jego nie dawano wiary wtenczas nawet kiedy mówili: <u>przysięgam na mój honor</u>, <u>rzecz uczciwem słowem</u>.

Bodajby przykład Ferdynanda wyryty został głęboko w twojéj, kochane dziécię moje, pamięci i sercu, żebyś nigdy nie ukrywał twych błędów i nie używał kłamstwa. Tym sposobem zasłużysz na szacunek w tém życiu, i na szczęśliwość w przyszłém. (a)

(a) Le moraliste aimable, ou le bon ami des enfans, traduit de l'anglais par A. Danbri. Paris.

86.

Niezgoda.

Mieczysław i Kazimierz rodzeni bracia, odziedziczyli po ojcu, człowieku nader skrzętnym i gospodarnym, znaczne dobra, przy których mogliby żyć wygodnie, jeśliby żyli z sobą w zgodzie. W jednym z folwarków znajdował się piękny ogród dawniej kawał zapuszczonej ziemi, którą ojciec ich kazał uprawić i zasadzić drzewami, a który corok wydawał znaczną ilość wszelkiego rodzaju owoców. Każdy z braci chciał być właścicielem ogrodu tego, nie mógł go jednak posiadać tylko jeden.

Przyszło stąd do ogromnej kłótni. Jesteś podły, rzecze Mieczysław, nie godzieneś tego ogrodu. - A ty, odpowie Kazimierz, jesteś nikczemnikiem, który zawsze martwiłeś ojca; niedołężna jak ty istota, co zro-

 48

bi z tak pięknym ogrodem? ty zniszczyłbyś go w ciągu jednego roku."

Proboszcz miejscowy, rozsądny i przykładny kapłan, uwiadomiony o tym sporze braci, przyszedł do nich i rzekł: panowie moi! co robicie najlepszego? za co, z powodu ogrodu wszczynacie kłótnię? rozsądniejszy między wami niech go ustąpi drugiemu." O co tego to ja nie zrobię" rzecze Mieczysław, "ani ja także" dodał Kazimierz.

Niech więc los rozstrzygnie, rzecze dalej proboszcz, kto z was ma zostać jego właścicielem.

Ja na los spuszczać się nie myślę, rzecze Mieczysław, ani ja, dodał Kazimierz.

Więc posiadajcie go wspólnie, mówił znowu proboszcz, wspólnym utrzymujcie go kosztem, i dzielcie się owocami.

"Nie - na to się nie zgadzam, rzecze Mieczysław, ja chcę go posiadać sam jeden." "I ja sam jeden mieć

go

go pragnę, przydał Kazimierz.

Wreszcie proboszcz zaprojektował sprzedać ogród i podzielić się pieniędzmi, lecz ten projekt przez obydwóch został także odrzucony.

A więc róbcie co chcecie, rzecze nakoniec proboszcz, ale się obawiam, żebyście nie doświadczyli na sobie, jak niezgoda i nienawiść czyni ludzi nieszczęśliwymi.

Nie zważając nato, bracia postanowili rozprawić się sądownie, i zamówili sobie Adwokatów. Tym sposobem rozwinął się proces, który ciągnął się lat kilka i na ogromne straty obie strony naraził.

Prócz tego proces ten stał się dla nich wielu domowych nieprzyjemności źródłem. Oba mieli żony i dzieci od których mogli doświadczać pociech, ale oni stali się dla nich przykrymi i srogo się z niemi obchodzili. Często przemawiając do nich z czułością

pytały żony: czego mój drogi smutny jesteś? czyż nie mamy wszystkiego, czego serca nasze zapragnie? czyż nie jesteś zdrów równie jak ja i dziatki nasze? nie jestże to wielkie szczęście mieć dobre i miłe dzieci? wreszcie czyż niemamy pięknego domu i znacznych dochodów? czemu więc mój przyjacielu smutny jesteś? Ale też ich bynajmniej nie cieszyło? Jak może być wesołym, mówili, kto ma takiego jak ja niegodziwego brata? Ten nikczemnik do grobu mnie wtrąci. A kiedy dzieci przychodziły do nich i mówiły: „Kochany ojcze! chciej z nami pójść na przechadzkę, pogoda taka piękna, ptaszeczki tak wdzięcznie śpiewają:“ oni odpychali je od siebie i za najmniejszy ich błąd karali srodze. Tym sposobem żony i dzieci zrobiły się kłótliwe i dziwaczne, a w domach ich panował niepokój i kłótnie.

Często, kiedy najlepsze dawano potrawy, nie mogli ich pożywać, bo żołądki ich pełne były żółci powstałej z nienawiści. A kiedy się układli do spo-

czynku

czynku, sen ich odbiegał, bo ich myśl tem tylko zajęta była, żeby jeden drugiego mógł zgubić.

Nie dość na tem. Jeden o drugim mówili najgorzej. Kiedy Mieczysław znajdował się w kompanii, starał się wmówić we wszystkich obecnych, że brat jego jestto człowiek podły, nie wart, żeby go ziemia nosiła. Kazimierz także we wszystkich towarzystwach głosił, że Mieczysław jest człowiekiem najniecnotliwszym, najgorszego charakteru. A tak oba nabyli w publiczności najgorszej opinii.

Po długim i kosztownym procesie, zapadł nareszcie wyrok sądu, na mocy którego ogród powinien być przedany, a pieniądze obrócone na pokrycie kosztów prawnych.

Jakież było ich zdziwienie, kiedy usłyszeli ten wyrok. Czemuż eśmy wprzódy tego nie zrobili, rzekł Mieczysław, i pieniądze byłyby przy nas, i nie sta-

libyśmy się pośmiewiskiem ludzi, i nie rozlalibyśmy sobie krwi tyle. I jakiż odnieśliśmy pożytek z kłótni naszej?

Żadnego, odpowie z westchnieniem Kazimierz, a staliśmy się tylko godnymi wzgardy w oczach ludzi rozsądnych. Co za nierozum, co za niebaczność nasza.

Poprawmy się, rzecze Mieczysław, powrotem do zgody. Daj rękę bracie. Poczém też uściskali się bracia.

Lepiej im zapewne z tém było. Długo jednak doświadczali złych skutków niezgody. Ogród bowiem stracony był dla nich, majątki skutkiem procesu ucierpiały bardzo, zdrowie się nadwerężyło, a żony i dzieci, nie miały już takiej, jak przed procesem, wesołości i słodyczy.

Spisek na śliwki ręklody. (a)

Dzień miał się ku schyłkowi; cienie drzew otaczających ogród jednego pensyonu męzkiego w Paryżu, szerzyły się i zwiększały stopniami; gdy jeden uczeń korzystając z tych cieni powoli przemykał się pod murem.

Szedł na palcach, stawiąc kroki z największą ostrożnością, oczy jego zwracały się w różne strony niespokojne i baczne; często na najmniejszy szelest stawał; czy liść zaszeleścił od wiatru, czy sowa odezwała się chrapliwym i dzikim głosem, czy jaszczurka wzruszyła zeschłą trawkę, dziecię wnet kryło się za ka-

---

(a) Powieść obecna i druga niżej umieszczona, pod napisem: <u>Wakacye Goldszmida</u>, przełożone są w skróceniu z <u>Journal des enfans</u> 1835 r. N 8 i 9.

mień, albo się przytulało do drzewa i nakoniec po chwi-
li próżnej obawy, pokrzepiony spokojnością, rozpoczy-
nał nanowo swą nocną wędrówkę.

W końcu ogrodu znajdowała się zrujnowana al-
tana; kupa kamieni świadczyła że myślano o jej na-
prawie; ku temu właśnie miejscu dziecię zmierzało; i
drzwi altany słabo się zamykały, popchnął je chłopiec,
wyrzekł psit... odpowiedziano mu ze środka psit...
wszedł i drzwi znowu się zamknęły.

Po chwili drugie dziecię wymknąwszy się z dzie-
dzińca na którym reszta uczniów się bawiła, poszedł
tą samą drogą co pierwszy, i z tąż samą ostrożnością,
przybył także do altany, dwa psit zostały nawzajem
wymienione, drzwi się otworzyły, i zamknęły za nim.

Za tamtymi dwoma udał się wkrótce trzeci uczeń,
potem czwarty, dalej piąty, potem jeszcze jeden i je-
szcze jeden, tak, że tylko słuszniejsi pozostali na

zabawi

zabawie.

— Gdzież to się podzieli ci malce, odezwał się z nich jeden, patrząc naokoło siebie.

— Cóż to ciebie obchodzi, odrzekł sąsiad.

— Ale i bardzo obchodzi, bo mój brat jest z nimi.

— Uspokój się, wkrótce zadzwonią na wieczerzę; na ten odgłos tak harmonijny dla zgłodniałych uczniów, twój brat znajdzie się niezawodnie.

Dzeń dzeń, dzeń dzeń, dzeń dzeń, dzeń dzeń.

Liczne głosy radości odpowiedziały na to hasło; jeszcze się dzwonek odzywał, a już i mali i słuszni byli na wschodach prowadzących do jadalni.

Skądże to przybywacie? odezwali się razem słuszni do małych.

— Zabawne pytanie, odpowiedział jeden z malców zanosząc się od śmiechu. Skądże chcecie żebyśmy przybyli, z Pontoaz, czy z Soassony, czy z Lyonu?

Każdy przyrzekł słówko, ale o altanie ani wzmiom-

ki. A ponieważ ja tam nie będę, bo malce nie raczyli mnie przyjąć do swojej narady, muszę także milczeć i oczekiwać z wami końca tej historyi dla dowiedzenia się o wszystkiém.

Ci co naprzód weszli do jadalni wybiegli z niej natychmiast na krzyk bolesny jednego z kollegów, jaki dał się słyszeć na wschodach.

Przy wschodach prowadzących na drugie piętro, była stancya w której człowiek jeden zdawał się być mocno zajęty układaniem na półkach szkłod, których połowę można było jeszcze widzieć w koszu. Człowiek ten mógł mieć lat 50, powierzchowność jego spokojna i przyjemna obok marsowej postaci; drewniana noga zastępująca miejsce tej którą stracił pod Waterloo, zmusiła go opuścić wojskowy zawód; przywykłemu do wojennej wrzawy spokojne życie nie mogło być do smaku; trzeba mu było zgiełku, krzyku,

ruchu;

ruchu; został więc ekonomem w pensyonie do którego wprowadzamy czytelników.

Szalone to państwo te dzieci, mówił do siebie żołnierz, układając śliwki na półkach; jakiem to one okiem poglądały na mój koszyk! Do stu kartaczów! Założyłbym się, że gdyby te małe szałaputy znaleźli klucz od spiżarni, nie przyglądaliby się długo śliwkom moim, nie liczyliby ich jak ja teraz liczę, o! daliby oni im roboty.

Tak mówił stary żołnierz, gdy w tem silny krzyk przerwał jego rajęcie.

Noga! noga! krzyczało jedno dziecię, a drugie jeszcze silniej, ratujcie! ratujcie! August złamał nogę.

Nie myśląc już ani o śliwkach ani o spiżarni, którą zostawił otworem, Laterrer (to było nazwisko żołnierza) wybiegł niespokojny.

Dziecię dwunastoletnie leżało na wschodach;

jego krzyk i jęki były okropne, lekki tylko złośliwy uśmiech malował mu się na twarzy. Otaczał go z tuzin kolegów. Biedny August, mówili wszyscy, biedny August.

August! August! cóż się tam stało z Augustem, wzruszonym głosem pytał Laterrer, bo trzeba wiedzieć że August był faworytem starego żołnierza.

— Zdaje się, żem złamał nogę, mój dobry przyjacielu, rzekł August tonem płaczliwym i rzucając ukradkiem wzrok na drzwi śpiżarni otworem zostawione.

— Do stu katów! to nie żarty, zawoła Laterrer, noga złamana w jego wieku! Z czémże on pójdzie na wojnę, kiedy w szkole nogę utraci! Fryderyku! weź lampę i trzymaj ją tu blizko.

— Może byłoby lepiej zanieść go do sypialni, rzekł Fryderyk.

— Trzeba pierwej zobaczyć co się tam zrobiło tej nodze. Czy możesz stać Augusiu?

— Och! nie mogę, mój kochany Laterrer, nie

mogę

mogę zgoła .... Aj! noga moja, aj, aj, aj, aj.

— Do stu kartaczów! to biéda z temi dziećmi; milczże już, milcz; to mówisz że w nodze ból czujesz.

— Tak! w nodze, w nodze.

— Dziwna rzecz! nie widzę nic zgoła, rzekł Laterrer opatrzywszy nogę dziecka, nic! nawet czerwoności niema.

— Niżej mój przyjacielu, niżej. Aj! samem dotknięciem ból mi nieznośny sprawiasz.

— Cóż u licha! i tu jak wyżej niema czerwoności.

— To kość się złamała, i dla tego niema znaku na ciele; ale wiem dobrze że się złamała; aj, aj, aj, aj.

— Nie płacz, mój mały, nie płacz, zaniosę cię do łóżka. Pomoż mi Fryderyku. A ty Karolu wezwij tu Chirurga i poproś P. Dozorcę żeby tu przyszedł.

Ale to niepotrzebnie wszystkich zwoływać, rzecze August. Krzycz ciągle, szepnął mu na ucho Hen-

ryk, drzwi spiżarni otwarte, wkrótce szturm przypuszczony zostanie.

Kto tu mówi o szturmie, spytał Laterrer niosąc na plecach Augusta.

Powoli! powoli! wołał August. Aj, aj. Och mój Laterrer, jak mnie okropnie trzęsiesz.

Dobrze grasz twoją rolę, rzekł pocichu Fryderyk, który udawał, że pomaga nieść Augusta. Jędrzej, Artur, Henryk, Karol, Adryan są już w spiżarni, twierdza wkrótce się podda, a co do zdobyczy, udział twój ciebie nie minie. Bądź więc spokojny i krzycz.

— Jużem ochrzypł, odpowiedział pocichu August.

— Ja ci dam soku lukrecyi; krzycz ciągle.

— Och! jak boli, mój kochany Laterrer, pospieszaj dla Boga, prędzej, prędzej.

No! nie płaczże już, nie płacz mój mały, mówił Laterrer kładąc Augusta na łóżku z największą ostrożnością, powiedziałby kto że mu kula armatnia urwa-

ła obie ręce i nogi, tak niemiłosiernie krzyczy....
A Karol co powie?

Nic! rzecze Karol przeciskając się do łóżka i nachyliwszy się do Augusta, szepnie mu na ucho. Nic bój się, wszystkie idzie gładko, krzycz tylko ciągle. Ach! jakaby to była szkoda gdyby tak piękny spisek został odkryty.

Laterrer stał z prawej, Dozorca pensyonu z lewej strony Augusta. Kilku kolegów zebrało się u głowy łóżka. Ci ostatni i chory poglądali wzajem na siebie wzrokiem niespokojnym. Dozorca zdawał się być w ambarasie. Laterrer drapał siebie za uchem, pomrukując: „to bieda z temi dziećmi„.

Czy poszedł kto po Chirurga, spytał wchodzącego ucznia Dozorca.

Już przyszedł, odpowie uczeń, i podbiegłszy do Augusta, podczas gdy Dozorca odszedł na spotka-

nie medyka, powiedział mu z żywością, lecz po cichu. Nie trać serca, nie wiedzą o niczém, a sknetki już odbyły wojaż do naszego składu.

Wielkiéby to było nieszczęście, panie doktorze, rzekł dozorca kończąc głośno zaczętą rozmowę na ucho. Potem przyprowadził lekarza do łóżka Augusta. Obejrzył dobrze nogę biednego dziecka. Coto będzie, jak dobra jego babka dowie się że jéj wnuk złamał sobie nogę.

Zobaczymy, może to rzecz mała, rzekł medyk tonem poważnym, i odkrywszy kołdrę, tak mocno w kilku miejscach ścisnął nogę Augusta, że ten nie żartem krzyczeć zaczął.

— Cóż się okazało, zapytał dozorca.

— Prawda, wielka prawda, noga złamana w dwóch miejscach.

August wielkiemi oczami spójrzał na doktora.

— Czy on oszalał? rzekł do sąsiada swego jeden z kolegów Augusta.

— Dudek! dudek, odpowie sąsiad, ani mu się śni medycyna.

— Złamana? powtórzył Dozorca smutnym tonem. Złamana! powtórzył Laterrer. A August śmiał się pod kołdrą. — Czy chory jadł wieczerzę? spytał medyk. Nie; odpowiedzieli wszyscy — Tém lepiéj. Panie Laterrer, proszę o miednicę. P. Dozorca każe postarać się starzyzny na bandaż. To mówiąc doktor wyjął z kieszeni chirurgiczny sztuciec i z niego narzędzie podobne do lanceta.

— Co będziesz robić, spytał Dozorca. — Trzeba krew puścić, odpowie Doktor, i jego mina, jego głos, słowem wszystko tak miało wyraz prawdy, że August cały zadrżał. Mnie krew puszczać, rzecze poglądając to na doktora to na dozorcę, mnie krew puszczać? Ale mnie się zdaje że moja noga ma się już lepiéj. — Przyczyną tego puchlina, moje dziécię.

rzecze Doktor; podajcie miednicę, przygotujcie bandaż.

I lancet błysnął oczom Augusta.

— Ale ja nie chcę, żeby mi krew puszczano, wołał August, czyniąc poruszenie do powstania z łóżka. — Milcz! rzecze mu Henryk na ucho, jeśli się poruszysz oczy ci wydrapię i jeśli co powiesz, zaduszę ciebie przydał Karol. Nas jest czternastu, odezwał się Fryderyk, którzy damy ci się we znaki. August milczał.

— Ponieważ nic nie jadł.... rzecze doktor, a August widząc znowu straszliwy lancet zbliżający się do jego ramienia, zawołał tonem żałosnym, jadłem, panie doktorze, jadłem.

— On mówi że jadł, panie doktorze, rzekł Fryderyk który już do śmiania się wielką miał ochotę.

— Jadłem, powtarzał August, złożywszy dłonie, jadłem.

— Puszczaj mu krew, panie doktorze, rzecze dozorca.

— Jadłem, krzyczał August, jadłem!

— Cóż jadłeś, spytał doktor.

— Wszystko co chcesz, mój łaskawy panie, lecz przysięgam, że....

Łzy przerwały mu mowę.

Co za wzruszenie! rzekł Doktor dotykając pulsu, jaka gorączka! noga złamana w jego wieku, to nie żarty; nie, to całe nie żarty.

August zaczął wątpić, czy noga jego istotnie złamana, czy nie.

Panie Dozorco! rzecze wchodzący sługa, ojciec P. Augusta przysyła po niego na operę, pojazd stoi na dziedzińcu.

August miał już wydać okrzyk radości, kiedy Dozorca odpowiedział słudze: „odeszlij powóz, i nie mów nic o przypadku Augusta, powiedz tylko że go nie uwolniono„.

Przeklęte dzieci! pomyślił August gryząc sobie palce.

— Jakież będzie rozporządzenie pana doktora,

spytał dozorca.

— Żeby August nie opuszczał łóżka aż do mojego przybycia; będę tu jutro wieczorem, przepiszę mu największą dyetę przez 24 godziny. — Dreszcz przebiegł po ciele Augusta — szklankę wody z cukrem, jutro o godzinie drugiej po południu, a jeśli gorączka nie ustanie, proszę mi oznajmić abym mu krew puścił... Miej cierpliwość mój mały, jak tylko puchlina zejdzie, postaramy się naprawić tę nogę. Do widzenia się pani Laterrer, bądźcie zdrowe dzieci.

Otóż macie! dobrze się wykierowałem, powiedział August rzewnie płacząc podczas kiedy dozorca i Laterrer odprowadzali doktora.

— Dobrze że się niczego nie domyślają, rzekł Fryderyk.

— Tak! a moja noga!

— Dziecko jesteś. Cóż? chyba ci ją doktor złamał.

— A post na który jestem skazany?

— Ja moim kawałkiem chleba podzielę się z tobą.

— A ja

— A ja mojemi jabłkami, dodał drugi.

— Byłbym na operze, a teraz... i zalał się łzami August.

— Nie umrzesz dla tego, powiedział Karol, wreszcie ty jesteś naczelnikiem naszego związku, słuszna więc abyś najwięcej ucierpiał.

W tém dozorca i Laterrer weszli.

Doktor zrobił mi niejaką nadzieję, rzecze pierwszy do Augusta; jeśli puchlina nie powiększy się tej nocy, pozwoli ci jutro rano filiżankę mleka bez bułeczki; ale dzisiaj nic zgoła. Szkoda! bo twoja matka dla ciebie i dla twoich kolegów przysłała dziś pełen koszyk rzkłod: śliwki całe piękne, wszak prawda Laterrer. Teraz tylko koledzy twoi pożywać je będą. Idźcie wieczerzać, moi przyjaciele, w jadalni dadzą wam chleba, a Laterrer odda klucz od spiżarni gdzie są owoce; idźcie moje dzieci; tego wieczora wolno wam jeść śliwki ile się podoba.

Czy nie możnaby, panie dozorco, kilka śliwek udzielić" Augustowi, spytał Laterrer tonem żartobliwym.

— Ach! boję się... Doktor...

— Nie wiele, tylko trzy; oto masz klucz Fryderyku, przynieś i dla Augusta trzy śliwki.

— Dziękuję, rzecze August wzdychając.

— Dla czegóż, mój przyjacielu.

— Ja nie lubię śliwek, odpowie August tłumiąc drugie westchnienie.

Chwała Bogu, że się niczego nie domyślają, mówili jeden drugiemu uczniowie wychodząc z sypialni.

— Żeby ciebie Augusku rozerwać, rzecze Dozorca, gdy nieszczęśliwy przypadek pozbawia cię przyjemności korzystania z daru twej matki, Laterrer, powie ci, jeśli życzysz, powieść pod tytułem: <u>Spisek na śliwki złoty, czyli ukarane łakomstwo.</u>

— Zdaje mi się, rzekł August na stronie, że powieść ta jest mi trochę znajoma.

———

Wakacye Goldszmida
czyli
Próżność i ambicya.

Dowcipny autor Wikarego Wakfildzkiego, opuszczonej wioski i wielu innych pięknych utworów, Goldszmid, często lubił opowiadać następny szczegół swojej młodości; wprowadźmy go i teraz mówiącego.

Piękny to dzień dla młodości, dzień rozdania nagród! stanowi on epokę w życiu uwieńczonego młodzieńca. Z jakiemże to uczuciem rozkoszy, młody zwycięzca powstaje i skromną głowę swoję niesie pod wieniec laurowy! Jak serce jego silnie bije wzruszone radością! Ach! to chwila prawdziwego szczę-

dzia! Sam szczęścia tego doświadczył. Imię Goldszmida nieraz obwołane zwycięzkiem, głośne zyskiwało oklaski, a ja w upojeniu żywej radości, na wspomnienie której teraz jeszcze stare serce me się wzrusza, z książkami i wieńcem wracałem na swe miejsce śród pochwał i winszowań wszystkich co mnie otaczali. Ach! jakżem szczęśliwy był wówczas! szczęśliwszy niż wyrazić mogę! Ztém wszystkiem do tej szczęśliwości tak czystej i która zdawała się tak zupełną, smutek się przymieszał: nie było tam mojej matki, mojej najlepszej matki, abym u nóg jej złożył moje nagrody, moje wieńce, abym ją usciskał w mej chwale! Jakże bolałem nad jej nieobecnością! ona mnie tak kochała! ona tak dumna była swoim Oliwejerem! Od dawnego już czasu ani matki mojej ani ojca nie widziałem. Trzy lata, trzy śmiertelnie długie lata upłynęły, a ja nieprędko jeszcze miałem ich oglądać.

Ta myśl smutkiem przejęła mą duszę, wtenczas

zwracając

zwłaszcza, kiedy po rozdaniu nagród, towarzysze moi powoli się wydalali do domów, a ja jeden, sam jeden z moją pozostałem chwałą! Nie było już dla mnie powinszowań, nie było oklasków, wszędzie około mnie głębokie panowało milczenie. Biedny Oliwijerze Goldszmid! jakże ty będziesz musiał się nudzić przez dwa miesiące wakacyj, które tak się krótkiemi wydają dla młodzieży szkolnej wydalającej się z miejsca nauk z otwartém sercem, z wyciągnionemi rękami do wiejskiej swobody.

Miałem już 17 lat wieku a od trzech lat słuchałem nauk w Uniwersytecie w Kembrydż, gdzie dzięki potężnej opiece, a może też przez wzgląd na zasługi mego ojca, bezpłatny miałem wstęp do Kollegijum. Przypominam sobie tę chwilę, kiedy przyjąwszy od ojca pożegnalny uścisk, ujrzałem bramę Uniwersytetu zamykającą się przedemną. Ale to

wspomnienie nigdy się tak silnie w pamięci mej nie odnawiało, jak w epoce wakacyj, epoce tak pożądanej, i którą jużem trzykroć odnawiającą się widział, i korzystać z niej nie mogłem. W tej epoce brama Uniwersytetu większą jeszcze i smutniejszą mi się wydawała. Ze łzami stawałem na progu, i zdawało się żem pocałowanie ojca uczuł na mej twarzy. Jakoż w istocie, rzecz to całe była niepowabna, dla młodzca w 17 roku uwięzionego, widzieć wesołych towarzyszy wyjeżdżających daleko od ksiąg, daleko od nauk, i pozostać samemu jednemu w towarzystwie książek, na opuszczonych ławach, w salach bez echa.

Ojciec mój nie był majętny, miał liczną rodzinę, mieszkał daleko od Kembrydż, a jego dochody nie dozwalały mu czynić tyle wydatków, żeby mógł sprowadzić do siebie biednego Oliwijera. Nieszczęśliwy Goldszmidzie! otoż czwarty raz pozostajesz sam jeden! Twoi przyjaciele Artur, Karol, Fryderyk, Alfred, wszyscy weseli, swobodni, używają szczęścia wakacyj. Wszystkich teraz fetują, pieszczą czuli rodzice; wszystkich czekają matki płaczące

z miło…

z radości: A ty Oliwierze tego wszystkiego pozbawiony jesteś! Nie dziw zatem że byłem smutny, bardzo smutny. Słyszałem plany ich zabaw, które sobie układali; miały to być długie przechadzki, rybołowstwo, polowanie, jeżdżenie konno, pływanie, słowem gry i zabawy bez końca. A ja powiernik tych pięknych projektów, ja, którym widział unoszące się w powietrzu te wspaniałe zamki, które młodość buduje w krainie wyobraźni, jam się podówczas smucił w mojej osobności. Ach! jakbym z całego serca oddał wszystkie moje nagrody, całą moją chwałę, wszystkie świeże jeszcze wieńce za piętnaście dni wakacyj i swobody.

Zostałem więc czwarty raz sam jeden; myśl moja zajęta była dumaniem nad nierównością stanów, gdy w tem Naczelnik Uniwersytetu wezwał mnie do siebie. Biegnę: „winszuję ci, rzecze do mnie, brawo! ciesz się Goldszmidzie, jesteś swobodny.„ W istocie wręczył mi list z 300 liwrami. „Możesz teraz oglądać twą matkę

Oliwijenie, jutro rano powinieneś wyruszyć."

Na tę wiadomość nie będę wam opisywał mojej radości. Pożerałem oczami list ojcowski. A moje piękne talary! jakżem ja z niemi się pieścił! jak je kochałem! Byłem szczęśliwy... i w rzeczy samej, jaka odmiana w moim losie! jaka różnica między troską która mnie przed chwilą pożerała, a obecnem położeniem mojem. Co za radość! co za roskosz! nie byłem przy sobie: skakałem, tańczyłem, byłem pijany szczęściem. Nie można bowiem przejść ze stanu rozpaczy do najwyższej pomyślności, żeby nie doznać uczuć najżywszych, roskosznych, do szczęścia przywodzących, które unoszą, czarują, zachwycają duszę; z każdem uderzeniem serca, mówiłem jutro! jutro! jutro!

Skakałbym jeszcze, gdyby naczelnik Uniwersytetu w którym szczera moja radość śmiech wzbudzała, nie przypomniał mi, że powinienem myśleć o drodze. Lotem błyskawicy pobiegłem do kwatery. W mgnieniu

oka

oka wszystko było ułożone, spakowane, wszystko gotowe. Rzekłby kto, żem czarodziejskiej laski użył do tego.

Położyłem się; najwdzięczniejsze marzenia sen mój uprzyjemniły. Zegar wybił czwartą; najgłębsze milczenie panowało w gmachach, które wkrótce z taką radością opuścić miałem. Wstaję, ubieram się i sposobię się do wyjścia dla najęcia człowieka, któryby moje rzeczy zaniósł do dyliżansa. Przed wyjściem chciałem jeszcze pożegnać się z mojemi talarami: rzuciłem na nie wzrok miłości i dziękczynienia, im to bowiem winienem szczęście, że mogłem użyć wakacyi: zbliżam się do nich, biorę do rąk, kładnę i znowu biorę, rozrzucam po stole, składam w gromadę, rozrzucam znowu, przypatruję się jeszcze, dotykam, śmieję się, przemawiam do nich. Nie... nie mogę wyrazić wszystkiego co się wówczas w duszy mojej działo: było to następstwo ciągłe, nieprzerwane wzruszeń zawsze nowych, rozkoszy nieznanej. Trzeba mieć siedmnastoletnią duszę,

duszę

duszę ucznia żywego, niewinnego, żeby podobnych uczuć doświadczyć: nakoniec trzeba być mną Oliwierem tej epoki żeby mnie pojąć.

Lecz, o niestałości rzeczy ludzkich! nagle inna, dziwna, płocha myśl powstała w głowie mojej. Jestem bogaty, mówiłem do siebie, jestem człowiek niepospolity, nie wypada mi więc jechać w pojeździe publicznym, ludźmi niższej klassy natłoczonym. Nie... Goldszmid powinien jechać po pańsku, z usługą, w osobnym pojeździe. Wybiegam więc, przelatuję ulice, szukam kogo coby widząc moję dobrą minę, albo raczej moje szterlingi, chciał mnie, ulubieńca Plutusa (a), wozić po bożym świecie. W wyborze tylko mogłem mieć trudność.

Nareszcie wszystko gotowe; woźnica i pojazd są na moje

(a) Plutus w pogańskiej starożytności bożek bogactw i kosztownych metallów. Wyobrażano go ślepego, z workiem w ręku, dając do zrozumienia, że fortuna ślepo łaski swe rozdziela. Był to jeden z bożków piekielnych. (nota Tłum.)

na moje rozkazy. Z miną gęstą wsiadam do karety: potem ogromnym głosem i jakby przywykłym do rozkazywania z głębi pojazdu krzyczę na woźnicę *ruszaj* i lecę pędem błyskawicy.

Byłem jak w niebie: koła paliły się: pobudzone głosem i biczem konie biegły, biegły potrójnym galopem, a ja miałem przyjemność widzieć przechodzących, jak stawali żeby podziwiać świetny i piękny ekwipaż. Och! prawdziwie byłem w błogim stanie: kosztowałem szczęścia, które, jakem mniemał, nigdy się skończyć nie miało.

Dwa dni upłynęły tym sposobem: nie troszcząc się o jutro i żyjąc obecnym czasem, nie sądziłem aby co mogło zakłócić moje szczęście. W drodze nic dla mnie dość dobrem nie było: woźnica miał rozkaz, aby na popasy do najlepszych tylko zajeżdżał oberż. Nakoniec trzeciego dnia przybyłem do miasteczka X⁺⁺⁺. Najpierwszem staraniem mojem było dowiedzieć się

o najpiękniejszym domie. Wskazano mi pyszne mieszkanie. Dałem rozkaz aby mnie do niego wieziono: „miejcie troskliwe staranie o konie, o ekwipaż. Pan Oliwijer Goldszmid chce, żeby w tym względzie nic nie było zaniedbanem." Słudzy domu którzy na mój głos wybiegli, zdziwieni zostali temi rozkazy, nadewszystko tonem jakim je dawałem. W istocie przyjąłem takt bardzo dziwny.

Wchodzę do salonu, albo raczej, jakem sądził do sali podróżnych. Przepych największy uderzył w me oczy. Niepożyteczną jest rzeczą mówić wam, że podziwienie zamknąłem w sobie. Na wszystkie przedmioty zbytku rzucałem od niechcenia wzrok pełen obojętności. Pokazać bowiem zadziwienie byłoby znakiem prostoty. Znalazłem w sali tylko jakiegoś jegomości i damę bardzo przyzwoicie ubranych. Witam ich lekkiem skinieniem głowy, oni zaś z największą grzecznością odpowiedzieli mi postępując ku mnie kilka kroków z ułożeniem nader szlachetnem. Nie posuwając dalej znajomości, przeszedłem

koło nich dumnie, i nucąc sobie piosenkę, rzuciłem się niedbale na pyszną sofę. Lekki, szyderczy uśmiech przebiegł po ustach tego jegomości i tej damy. Twarz moja ogniem spłonęła. Lecz wkrótce wracając do przyjętego taktu, podwoiłem moje grubijaństwo; niewiem bowiem jaki duch piekielny natchnął mnie tę szatańską myślą, że, aby być doskonałym wojażerem, a nadewszystko wielkim panem, należy zostać grubijaninem. Wyznaję, żem tę nową dla mnie rolę, zgrał najlepiej; śpiewałem, chodziłem wzdłuż i wszerz po sali gwiżdżąc, bębniłem palcami po oknie, lecz to ku wielkiemu zmartwieniu memu ciągły wzbudzało śmiech w tym jegomości i tej damie; ten śmiech nieco mnie zmieszał, ale rozumniejszym nie zrobił; nie przyszło mi nawet do głowy, żeby się śmiano z mego głupstwa, mniemałem owszem przeciwnie, że kgo, com czynił, nie czyniłem z takim taktem, z tą kawalerską i swobodną miną, która zdawała się być cechą dobrego tonu.

Pełen tej myśli, wstaję, i okręciwszy się na jednej nodze dwa lub trzy razy, zbliżam się do tego jegomości i damy/, mając ich za podróżnych i zawiązuję rozmowę. Ponieważ mówili z grzecznością szczérą i niewymuszoną, osądziłem ich za osoby z prowincyi, w obawie zatem, abym rozmawiając z niemi powadze mojéj nie zaszkodził, odwracam się od nich i w drugim końcu sali rozsiadam się na krześle założywszy nogę na nogę i głośno poziewając.

Znużony udawaniem, czując oraz w gardle suchość, powstaję, porywam silnie za wiszący od dzwonka sznurek i każę podać szklankę wody z cukrem; natychmiast na srebrnej tacy lokaj przyniósł mi szklankę wody z cukrem. Tu, rzekłem do niego pokazując mu stolik z marmuru paryzkiego, i z miną godności prawdziwie koniecznej, usiadłszy na krześle miękkim i bogatem, piłem roskoszny nektar. Błogosławiłem memu przeznaczeniu. Chłopcze! zapłać sobie rzekłem i wyjąwszy z kieszeni złotą monetę, rzuciłem dumnie na stół. Ale w tej

chwili

chwili obił się o me uszy śmiéch głośny, szyderczy, który mnie do żywego poruszył. W szaleństwie wsta-łś chcąc ukarać zuchwalstwo, lecz cóż się ze mną działo o mój Boże, kiedy ujrzałem przed sobą tego jegomości z powagą stojącego i przemawiającego do mnie w następnych wyrazach, które mnie jak piorunem raziły. „Weź swoje pieniądze, panie Goldszmid, nie jesteś w oberży, lecz u mnie, u Lorda D.... Pobłądziłeś, ale nie bój się, jesteś u przyjaciela. Przebaczam twój postępek, przez wzgląd na wiek i niedoświadczenie, a nawet przez wzgląd na imię, bo znam twojego ojca. Nie czynię ci przeto żadnych wymówek, sądzę tylko, mój młody przyjacielu, że mam prawo dać ci dobrą radę, abyś w mowie był uważniejszym i grzeczniejszym dla dam. Jeszcze dwa słowa: niewsiem jakim sposobem odbywasz podróż w tak porządnym powozie, ale mam podejrzenie, że i w tem jest także figiel two-

jego wieku. Wierzaj mi, rozsądniej daleko zrobisz kiedy tej roli zaniechasz. Zapewne kieska twoja niejest niewyczerpana i do jej dna łatwo się dobiorą sługi twoi".

Dziwny skutek sprawiły na mnie te wyrazy wyrzeczone z krwią najzimniejszą. Byłem porażony, pełen wstydu: twarz pokryła się żywym rumieńcem, nie śmiałem podnieść oczu. Lecz nakoniec zdobywszy się na odwagę, wymawiałem się jak mogłem i prosiłem Milady o przebaczenie, które wprawdzie łatwo otrzymałem, ale które zawstydzenia mego zgoła nie zmniejszyło.

Tak się skończyło moje państwo. Uśmiech damy i jej łagodne przebaczenie wstyd mój powiększyły jeszcze bardziej. Poznałem że byłem śmieszny i to mnie nazawsze poprawiło w wadzie próżności która dla mnie zapewne zgubną by się stała.

Odprawiłem natychmiast służących z pojardem, i dobrzem zrobił, bo w dniu jutrzejszym dla braku pieniędzy, zapewne oniby mnie odprawili. Zawiesiłem mój węzełek na kiju, i z lekkim ciężarem pieniężnym, pełen na-

dziei

dzieci, pieszo, lecz najpiękniejszą okolicą, przez najpowabniejsze wioski, nad brzegami ćwierczych strumieni, przez kwieciśk Egli, pozdrawiany od przechodzących, którzy patrzyli na mnie z uśmiechem widząc mnie tak szczęśliwego, przybyłem w kilka dni do domu rodziców, którzy mieli dobroć śmiać się z Jaśnie Wielmożnego Oliwijera Goldszmida.

Był to jedyny w życiu mojem czyn próżności, który zawsze mam sobie do wyrzucenia.

Taniec umarłych.

Jak poniżającem jest pijaństwo, jak upadla człowieka, i jak smutnych często bywa przyczyną

skutków, następujące zabawne zdarzenie dowodem być może.

O godzinie 2 zrana, kiedy jeszcze było ciemno, muzyk jeden wracał z domu wiejskiego, w którym był wieczór tańcujący. Tak się on tam dobrze uraczył, że mu się wszystko w oczach dwoiło; szedł zygzakiem, spotykał się na każdym kroku, a jednak śpiewał na całe gardło. Wtem na zawrocie drogi, napadli nań złodzieje; ponieważ zaś muzyk nasz nie czynił żadnego oporu, nie doznał więc innego złego obejścia się, tylko, że został całkiem obdarty, i zostawiony na drodze. Trunek, zmęczenie i trudność powstania zmusiły go pozostać na miejscu, gdzie smacznie zasnął.

W godzinę, przechodził tędy powóz ze szpitala naładowany trupami, które wieziono na mogiłki. Zbliżywszy się do uśpionego muzyka, konie stanęły. Woźnica, który dał im dość wypoczynku przy karczmie, daremnie na nie krzyczy, konie z miejsca ruszyć

niechcą

nie chcą. Nakoniec wpada w gniew, łyjie tysiącem djabłów, i obficie zacina batogiem. Daremna praca! Konie się wspinają i wóz się wywraca. Woźnica musiał się zająć zbieraniem rozrzuconych trupów.

Ponieważ tamże leżał i muzyk, a woźnica trupów nie liczył, wziął więc i muzyka, i z innemi wrzucił na wóz, poczem bez przeszkody kończył drogę.

Wstrząśnienia pojazdu wzruszyły imaginacyą pijaka. Zaczęło mu się marzyć, i gdy to marzenie przypomniało mu zabawy balu, na którym pił tak dobrze, zaczął wznosić toasty, i rozporządzać figurami kontradansa, głośno mówiąc, lub zniżając ton, podług tego, jak mocniej lub słabiej był wstrząsany, tak, iż woźnica wkrótce usłyszał za sobą: _En avant deux! la chaine des Dames, balancez_ etc.

jak

jak gdyby trupy tańczyły.

Krzyki te zdające się wychodzić z wielu ust, do tego stopnia przestraszyły biednego woźnicę, że we wrotach cmętarza rzucił powóz, i krzycząc do grabarza: „zakopuj ich prędzej, bo wszyscy gadają, i mogą ożyć„, uciekał co tchu stało. Grabarz zdumiony, obejrzał troskliwie trupy jednego po drugim. Szczęściem dla muzyka, cmętarzowy ten artysta nie wierzył zgoła w upiory; znalazł pijaka jeszcze ciepłego, zaniósł do swego domu, i zatrzymał u siebie do czasu odzyskania przytomności, a nazajutrz pozwolił mu swego odzienia, aby powrócił do miasta.

Dobrze jeszcze, że na tém się tylko skończyło, bo mogły owego muzyka konie stratować, mógł powóz przez niego przejechać, a wtenczas albo kaleką pozostałby nazawsze, albo pijaństwo swoje przypłaciłby nawet życiem. A kronika, z której

zdarzen

Zdarzenie to zostało wziętem, mówi, że muzyk ten był to jeszcze dosyć młody człowiek, że miał żonę i dzieci, wyobrazić więc sobie łatwo można, jak nieszczęśliwemi byłyby te istoty, których całe utrzymanie, od professyi ojca jako muzyka, jedynie zależało.

Przyjaźń

Tryolety.

1.

Gdy zmękane ludzkie plemie
Gorycz poznało niedoli,
Bóg zesłał przyjaźń na ziemię,
By ludzkie cieszyła plemie.

Mniej odtąd nieszczęścia boli,
Lżejszem się stało nędz brzemię.
By ulżyć ludzkiej niedoli,
Bóg zesłał przyjaźń na ziemię.

II.

Na czułej przyjaźni łonie,
Wiek się bez troski przepędza.
Troska w niepamięci tonie,
Na czułej przyjaźni łonie.

Choć próżno za szczęściem gonię,
I przykra dokucza nędza,
Na czułej przyjaźni łonie
Wiek się bez troski przepędza.

III.

W sercu skażonem niecnotą,
Wątłe przyjaźni ogniwa.
Rwie je interes lub złoto,
W sercu skażonem niecnotą.

Gdzie zbrodnie duszy nie gniotą,
Tam ona chętnie przebywa,
Lecz w sercu tkniętem niecnotą
Wątłe są onej ogniwa.

IV.

Przyjaźni! niech twe promienie,
Serca śmiertelnych przenikną!
Zjawi się uszczęśliwienie,
Gdzie twe przenikną promienie.

Cnota odzyska znaczenie,
Niedola i nędza znikną,
Gdy twe, przyjaźni, promienie,
Serca śmiertelnych przenikną.

Bajki.

Płotka.

Zarzucił chłopiec wędkę do wody,
I wnet się płotka ujęła.
Ucieszony rybak młody,
Ściągnął wędkę, lecz wcześnie, i płotka się zdjęła.
O! tutaj kolą robaki, rzekła,
Żeby nie zginąć
Na inne miejsce potrzeba płynąć.
I nie zwlekła,
Popłynęła.
W innem miejscu, nad strumieniem,
Inny stał chłopiec chciwy połowu.
Łakoma płotka chwyciła się znowu.
I znowu jakiemś szczęśliwem zdarzeniem,

Nad wód powierzchnią z wędki się urywa.
Tu widzę jakaś zdrada się ukrywa.
Trzeba być ostrożniejszą, tu o życie chodzi.
Ledwie to rzekła, w niedługiej dobie,
Inny się robak nagodzi.
Więc pomyślała sobie.
Może szczęśliwszy będzie ten robaczek trzeci,
Piękny, żadna się zdaje nie kryje w nim zdrada.
A gdy coraz mocniejszy apetyt się nieci,
Chwyta robaka i zjada.
I już na brzegu narzeka próżno,
Że nie była dość ostrożną.

Tej płotce ludzi podobnych niemało.
Co w ustawicznej z rozsądkiem niezgodzie,
Zawsze w te same głupstwa lecą śmiało.
I gdy utracą zdrowie, sławę, mienie.
Poznają swoje błędy, swoje omamienie,
Poznają, lecz już po szkodzie.

Dwie sroki.

Gdzieś, (bom niemógł miejsca zbadać)
Wyuczono srokę gadać,
„Sroczka z Krakowa,
Kochanka Maćkowa.
Stąd takiej nabrała dumy,
Jak gdyby wszystkie posiadła rozumy.
Raz kiedy z domu wedle zwyczaju,
Do brzozowego wyleciała gaju,
Tuż przy niej inna sroka na gałęzi siada
I zdarzeniu wielce rada,
„Witam cię, rzecze, dawna sąsiadko!
Kopa lat jakem widziała ciebie.
Ale wyglądasz zdrowo i gładko,
Na dobrym być musisz chlebie.

Gdy ty w roskoszy, twoje siostry, krewni,
Twoi rodzice w smutku, niepewni,
Czy jeszcze żyjesz na świecie.
Godziłoby się też przecie
Odwiedzić ich w wolnej dobie,
Lub uwiadomić o sobie„.
Taką mową obrażona
Sroczka uczona,
Całe niegrzecznie tyłem się zwróciła,
I z nadętością rytm swój wygłosiła:
„ Sroczka z Krakowa,
Kochanka Maćkowa„.
— „Skądże ta duma nieznośna?
Rzecze jej sroka przybyła
Czyś z zasług, czy z rodu głośna?
Czyli to w tobie taką pychę budzi,

Że paplając kilka słów językiem ludzi.
Ten prawdziwej nauki i rozsądku nima
Kogo nauka nadyma.

Tak rzekła i uleciała, niechaj leci zdrowa.
Są i ludzie tak głupi jak sroczka z Krakowa.

Staś i mama.

Czemu to mamo tamten grunt pod borem,
Gdzieśmy chodzili wczoraj wieczorem
Okryty zbożem, że aż spójrzeć miło,
A tu tylko się jakieś zielsko rozkrzewiło.
To się nie może pomieścić w mej głowie.
Takie swej matce Staś zadał pytanie;
Matka mu na to odpowie.
„Dla tego moje kochanie

na

Na tamtym gruncie bujnieś widział plony,
Że dobry z siebie, przytem uprawiony,
Przyjął nasienie.
I jeśli nie mię przeszkodzi,
Obficie zrodzi.
Ten zaś grunt przykre czyniący wrażenie,
Łożone trudy najgorzej opłacił,
Rzucone ziarno zatracił.
I już teraz bez żadnej uprawy zostaje,
Chwasty i ciernie tylko wydaje.

Tak się i z młodym człowiekiem dzieje.
Jeżeli przyjmie cnót i nauk ziarno,
Łożona praca nie stanie się marną,
Obfitych plonów spełnią się nadzieje.
Lecz jeżeli lenistwa ustucha popędów,
A ziarno cnoty i nauk odrzuci,
Cierniami tylko rodziców zasmuci,
Cierniami zbrodni i błędów.

Dwa jabłka.

Zachowane na zimę jabłko piękne, zdrowe,
Sąsiadowało z drugiém, zgniłém przez połowę.
Wkrótce jabłku zdrowemu, jabłko co już zgniło,
W obfitości zepsucia swego udzieliło.
Jedno zatem i drugie zgnilizną skażone,
Precz zostały wyrzucone.

Uczcie się stąd, dziatki lube,
Że kto ze złymi w towarzystwo wchodzi,
Okropnie sobie zaszkodzi.
I najpewniejszą ściągnie na się zgubę.

Lew i osioł.

Głupi więcej częstokroć niż złośliwy szkodzi;

Tego następujące zdarzenie dowodzi.
Zmęczony, zbolały srodze,
Leżał baranek na drodze.
Nadszedł lew, a jakkolwiek i dumny i srogi,
Zboczył jednakże i minął baranka.
Nadszedł osioł, i kiedy z gęstą miną panka,
Polenił się nałożyć kilka kroków drogi,
Niezgrabną ~~ciężką~~ łapę na baranku stawia,
I okrutnie go zadławia.

Tak człowiek głupi, bez nauki zdania,
Nic rozumnego nie zrobi.
Do błędów się łatwo skłania
I cnotą nie z wyboru, przypadkiem się zdobi.

Piana morska i perła.

Ja sobie bujam po wierzchu wody,
Miłej używam swobody,

I jestem całe szczęśliwa.
Perła zaś na dnie gnuśnie spoczywa.
I któż nie widzi, jak ona
Upośledzona?
Tak mówi piana morska, perła odpowiada.
Bądź sobie pani z doli swojej rada,
Nie zajrzę szczęścia co jej niebo daje,
I na mym losie chętnie przestaję.

Wszak i na świecie podobnie się dzieje.
Złym często szczęście się śmieje,
Udziela dostojeństw, mienia,
A cnotliwi doznają wzgardy, zapomnienia.
Nie przeto jednak i z Bogiem się kłócić,
I cnotę świętą należy porzucić.
Bo chociaż ją w tém życiu nagroda ominie,
Wieczna ją spotka w przyszłości krainie.

———.

Rozmaitości.

Nieco z fizyki.

Ciepło.

Co to jest ciepło? zaspokajającej odpowiedzi na to pytanie nikt jeszcze niedał. Uczucie jakiego doznajemy dotykając niektórych ciał, albo przyczynę tego uczucia, nazywają ciepłem. O cieple mówią jak o istocie która wynika z ciał, przechodzi w ciała i t.d., chociaż właściwie ciepło nie jest istotą, bo niema własności istoty, np. niema ciężkości.

Głównem źródłem ciepła są promienie słońca, tarcie, ciśnienie i chemiczny proces czyli palenie się. Zimno, to tylko brak ciepła.

Słońce ogrzewa i oświeca naszą ziemię. Każdemu wiadomo, że promienie słońca latem więcej grzeją, jak zimą, chociaż zimą słońce daleko bliżej jest ziemi:

Można

Można to objaśnić w taki sposób. Postaw na stole świecę zapaloną i trzymaj nad nią rękę. Uczujesz natychmiast silne palenie. Trzymaj rękę z boku świecy w takiej samej odległości od płomienia jak pierwej, ręka wtenczas nie uczuje gorąca. To samo dzieje się i z ziemią. Latem promienie słońca prawie prostopadle padają na ziemię i dla tego nam ciepło, zimą zaś padają ukośnie, dla tego nie tak silnie grzeją.

Każdy z was, młodzi czytelnicy, widział twardy kamień pod nazwą krzemienia. Jeśli na krawędzi krzemienia tego położymy suchą hubkę (gąbkę), a potem silnie po tym kamieniu uderzymy stalą, czyli krzesiwem, to przy każdem prawie uderzeniu pokażą się iskry. Skąd się biorą te iskry? Od silnego uderzenia krzesiwa o twardy krzemień oddzielają się małe cząsteczki stali, które skutkiem gorąca powstałego

od

od uderzenia czyli tarcia rozgrzewają się i zapalają hubkę. Jeśli iskry te padną na biały papier i jeśli spójrzymy na nie przez szkło powiększające, to ujrzymy wyraźnie kawałeczki roztopione stali. Wieczorem widzieć można iskry wypadające z pod kopyt podkutego konia kiedy bieży po kamiennym bruku. Jawią się one z tej samej przyczyny co i przy uderzeniu krzesiwa o kamień. Od uderzenia zatem jednego ciała o drugie, od tarcia i ciśnienia tworzy się ciepło. Żelazna sztaba od silnych i częstych po niej uderzeń młotem, mocno się nagrzewa; kowale tym sposobem często dobywają ogień.

Weź suchą deskę z okrągłym w środku niej otworem. W otwór ten włóż suchą drewnianą pałkę i zacznij nią kręcić silnie, albo wsuwaj i wysuwaj. Wyjm potem pałkę, i ręką dotknij do niej i do otworu deski. Uczujesz że pałka

i brzegi

i brzegi otworu silnie się nagrzały. Ciepło to powstało od tarcia. Kiedy w grubej desce świdrują dziurę, to świder smarują tłustością, inaczej w czasie świdrowania utworzy się wielkie ciepło i drzewo zapalić się może. Dla tego to osie kół w pojazdach pociągają tłustością lub dziegciem, bez czego drewniane osie trąc się o koła mogłyby się spalić, a żelazne schylityby się zupełnie.

Kiedy potrzemy zapałkę o twarde i chropowate ciało, zapałka się zajmie ogniem. Od czego to? Widzimy, że główka zapałki jest czemś nasmarowana. Jestto fosfor i siarka. Fosfor tak łatwo się zapala od najmniejszego tarcia i tak prędko się spala, że drewnianej zapałki ogień się nie uchwyci. Dla tego zapałki maczają naprzód w roztopionej siarce, potem smarują fosforem, a wkońcu pokrywają jakąkol-

wiek

wiek farbą. Siarka zapala się także prędko, ale się pali długo. Tak więc w zapałce zapala się od tarcia naprzód fosfor, potem siarka, a na końcu drzewo.

Weź szklanną z grubemi ścianami, z jednego końca zasklepioną rurkę. Dorób do niej stępel czyli tłok z twardego drzewa, albo z grubego drótu. Na końcu tego stępla mającego wchodzić do rurki, urządź kruczek albo zrób małe wydrążenie w które włóż kawałek hubki. Koniec ten powinien szczelnie wchodzić w rurkę, żeby między nim i ścianami rurki nie wciskało się powietrze, dlatego należy go okręcić płótnem lub bawełną. Wtenczas stępel ten silnie popchnij w rurkę, a ujrzysz, że przytwierdzona na końcu jego hubka zapalić się zacznie. Dla czego to? W rurce było powietrze, które po wpędzeniu w nią stępla, musiało się ścisnąć. Między cząstkami powietrza

nastąpiło

nastąpiło tarcie, z którego tyle wynikło ciepła, że hubka się zapaliła. Zamiast rurki szklannej można użyć mosiężnej, którą każdy blacharz łatwo zrobić potrafi. Nazywa się to krzesiwem fizycznem.

Twarde ciała przy nagrzewaniu rozszerzają się, stają się większemi, stygnąc wracają do mniejszej objętości. Dla tego to woda w garnku gotując się idzie do góry, jak gdyby jéj więcej przybywało, bo ciepło rozszerza jéj części. Toż samo dzieje się i z innemi ciałami płynnemi.

Weź pęcherz, namocz go nieco w wodzie, żeby nie był zbyt suchy, otwór jego zawiąż mocno i połóż na gorącej płycie. Zobaczysz, że pęcherz zacznie coraz więcej się nadymać i wkońcu pęknie, dla tego, że części powietrza w nim zawartego, od

ciepła oddzielając się jedna od drugiej, czyli, że powietrze się rozszerzając zajęło większą przestrzeń, i tak rozciągnęło pęcherz, że pęknąć musiał.

Weź miedzianą kulę, któraby chociaż z trudnością przechodziła jednak przez obrączkę. Wrzuć tę kulę do wrzącej wody i wyjąwszy włóż zaraz w obrączkę, zobaczysz, że już przez nią nie przejdzie. Cząści miedzi rozszerzyły się od ciepła na wszystkie strony i kula większą się zrobiła. Przy ostudzeniu ciepło z niej przejdzie do powietrza zimnego, a wtenczas kulkę znowu przez obrączkę przeprowadzisz. Albo weź zimny żelazny garnek i wstaw go do pieca mającego otwór równy garnkowi; kiedy się w piecu zapali, już nazad garnka nie wyjmiesz, bo żelazo od ciepła zrobiło się szerszem niż było.

Z tego się pokazuje, że, kiedy się ciała nagrzewają, to się stają większemi czyli się rozszerzają, a kiedy się oziębiają, to się kurczą czyli zmniejszają. Im ździadlejsze zaś są ciała, tem się mniej roz-

szerzają

szerzają w cieple, tem się mniej kurczą w zimnie. Weź cztery laseczki jednostajnej długości i grubości, ze szkła, żelaza, miedzi i ołowiu, położ je razem i nagrzej, ujrzysz, że ołowiana laseczka najwięcej się przedłuży, a szklanna najmniej. Przy ostudzeniu ich pierwsza prędzej się skróci niż druga.

Płyny różnie się także rozszerzają przy ogrzaniu, gęste więcej, rzadkie mniej.

Kupując płyny, które nie na wagę, a na miarę się przedają, należy zwrócić uwagę i na stopień ich ciepła. Kiedy w gorącą letnią porę kupisz sto wiader spirytusu, a przedasz go zimową porą w czasie mrozów, stracisz jego około 4 lub 5 wiader, bo latem spirytus się rozszerza i więcej ma objętości niż zimą.

Jeżeli do zimnej szklanki nalejesz gorącej wody, to szklanka pęknie. W szklance boczne

ściany

ściany są cienkie a dno grube; cienkie ściany prędzej się nagrzeją niż grube, a zatem pierwsze prędzej się rozszerzą od grubej. Od tego nierównego rozszerzania się ścian szklanki i dna, szklanka pęknąć musi. Jeśli zaś nalejesz gorącej wody do rurki, której ściany wszystkie jednostajną mają grubość, rurka nie pęknie, bo ściany jej równo rozszerzać się będą.

W domie, od ciężaru sufitu, w pokoju jednym ściany się rozeszły. Oto jakim sposobem można je ściągnąć i postawić na pierwszem miejscu. W ścianach przebijają dziury i wpuszczają w nie grubą żelazną sztabę. W obu końcach tej sztaby robią po kilka otworów. Sztabę po środku mocno rozgrzewają. Przy tem nagrzewaniu sztaba się rozciągnie i zrobi się dłuższą, wtenczas w otwory jej z obydwóch końców wbijają się wielkie żelazne kliny i przestają nagrzewać. Sztaba zaczyna stygnąć a razem kurczyć się czyli skracać, i

tym

i tym sposobem przyciągnie siany, które staną na pierwszem miejscu.

Na żelaznej drodze koła maszyny i wagonów toczą się po gładkich czuhunnych sztabach czyli relsach. Relsy te kładną tak, żeby końce ich nie dotykały jeden drugiego. Oto dla czego się to robi. Kiedy pociąg idzie po relsach, to od tarcia kół o relsy pojawia się ciepło, w skutek czego relsy dłuższemi się robią. Jeśliby więc między niemi nie było wolnych przestrzeni, to jeden rels oparłby się o drugi i podgiąłby się oba. Uczeni odkryli, że na każde 25 wiorst, relsy przedłużają się na 4 sążnie.

Na drewniane koła wkładają żelazne obręcze, żeby się koła nie ścierały i nie psuły od jazdy. Ale żeby te żelazne obręcze czyli szyny szczelniej przylegały do kół, robią je nieco mniejszemi od obwodu kół, na których

tezu

leżeć mają, potem rozgrzewają i wbijają na koło. Kiedy obręcz ostygnie, zrobi się mniejszą i ściśnie mocno koło.

W ciepłem miejscu zegar się późni dla tego, że wszystkie części jego od ciepła się rozszerzają, i perpendykuł czyli wahadło się wyciąga, powolniej się waha i zegar się późni. Przeciwnie, w zimnem miejscu zegar będzie się śpieszył. W pierwszym razie wahadło należy skrócić podejmując je nieco, w drugim opuścić niżej. —

Niektóre jednak ciała od ciepła nie tylko się nie rozszerzają, ale się nawet ściągają, jak glina, owoce, grzyby, drzewo. Pochodzi to stąd, że ciała te mają w sobie wiele wilgoci, która przy ogrzewaniu zamienia się w parę i łączy z powietrzem.

Wiemy już, że ciała przy nagrzewaniu rozszerzają się i stają się większemi. Cząstki np. żelaza oddzielają się jedna od drugiej i zajmu-

ją

ją więcej miejsca; w jednym kubicznym calu nagrzanego żelaza mniej już będzie cząstek, dla tego jeden kubiczny cal żelaza przy nagrzaniu staje się lżejszym. Toż samo dzieje się i z powietrzem. W pokoju zimne powietrze jako cięższe zbiera się u dołu, ciepłe jako lżejsze idzie do góry. Dla tego to muchy siadają najwięcej na wyższych miejscach, bo im tam cieplej. Otworzymy nieco drzwi z ciepłego pokoju do zimnej sieni, i świecę zapaloną podniesiemy do wierzchniej części otworu. Ujrzymy, że płomień świecy nakłoni się w stronę zimnej sieni. Jeśli zaś świecę spuścimy ku dolnemu otworowi, to płomień nakłoni się w stronę ciepłej izby. Zimne powietrze jako cięższe przez niższy otwor drzwi wchodzi z zimnej sieni do ciepłego pokoju, ciepłe zaś jako lekkie do zimnej sieni ucieka. Jeśli zaś zostawimy drzwi całkiem otwarte, to ruch ten

powietrza

powietrza przedłużać się będzie póty, póki w pokoju i w sieniach nie zrównoważy się powietrze.

Woda tylko ma tę własność, że zamarzając nie ścieśnia się jak wszystkie inne ciała ale się rozszerza i nabiera większej objętości. Dlatego to lód jest lżejszym od wody i pływa po niej, dlatego naczynie, w którém woda zamarzła, pęka, bo woda zamarzając silnie się rozszerza, objętość zaś naczynia nie zwiększa się, więc musi pęknąć. Siła zamarzającej wody z przyczyny jej rozszerzenia jest tak wielka, że nawet skały i żelazne bomby rozsadza.

Ciała, przez które ciepło przechodzi prędko, nazywają dobrym przewodnikiem ciepła, te zaś przez które ciepło przechodzi powoli złym przewodnikiem ciepła. Do dobrych przewodników ciepła należą kruszce, z których najlepszym prze-

wodnikie-

wodnikiem jest złoto, potem srebro, miedź, żelazo, cynk, cyna, ołów itd: do złych przewodników należą marmur, drzewo, szkło, węgla, kamienie; a jeszcze do gorszych, puch, pierze, włosy, powietrze, słoma, jedwab', len, papier, woda itd.

Dobre przewodniki prędko przyjmują ciepło od drugich ciał, ale za to prędko je i oddają. Tak np. żelazny piec prędko się nagrzewa, ale prędko i stygnie, bo prędko oddaje swoje ciepło powietrzu. Przeciwnie zaś, żeby nagrzać piec z cegły, trzeba przy jednej i tej samej ilości opałowego materyału upotrzebić do tego 32 razy więcej czasu, aniżeli dla nagrzania żelaznego pieca; ale za to w ceglanym piecu 32 razy dłużej ciepło się trzyma, niż w piecu żelaznym.

Jeżeli trzymając drót w ręku nagrzewać go będziesz, nie utrzymasz go długo, bo gorąco doj-

dzie

dzie do palców; papier zaś zwinięty w trąbkę i zapalony, utrzymałł prawie do końca, bo papier jest złym przewodnikiem ciepła.

Postaw zapalony trocik do kadzenia jeden na metallowej desce, a drugi na drewnianej. Na pierwszej nie dopali się do końca, bo metal, dobry przewodnik ciepła, wyciągnie ciepło z trocika, który przy końcu zgaśnie; drewniana zaś deska, zły przewodnik ciepła, bardzo mało odbierze ciepła, i trocik spali się do końca.

W metallowych imbryczkach dają drewnianą rączkę dla tego, że metal jako dobry przewodnik ciepła, prędko przyjmuje w siebie ciepło gorącego płynu i mógłby poparzyć rękę, drzewo zaś jak wiemy jest złym przewodnikiem ciepła, powoli więc i nieznacznie przyjmuje ciepło.

Nasyp na rękę popiołu, i połóż na niej rozpalony węgiel, ręka się nie oparzy, bo popiół jest bardzo złym przewodnikiem ciepła. Dla tego piece

w których

w których wiele zbiera się popiołu mniej dają ciepła, bo same go mniej przyjmują. Dla tego to w żelaznych szafach przeznaczonych do zachowania od ognia drogich rzeczy a szczególnie szacownych dokumentów i biletów bankowych, robią podwójne ściany i między ściane te sypią popiół.

W lodowniach drewniane ściany wykładają słomą i słomą je kryją. Ściany takie i taki dach są złemi przewodnikami ciepła, bardzo powoli przyjmują ciepło zewnętrznego powietrza i promieni słonecznych, i powoli także przepuszczają je do lodowni. Jeszcze lepiej byłoby wykładać ściany i dach węglem lub popiołem, bo te gorszemi jeszcze są przewodnikami ciepła.

W różnych czasach nosimy różną odzież. Latem służy nam ona do tego, żeby zbyteczne ciepło nie dochodziło do naszego ciała. W zi-

mowej

nowej porze futro broni nas od zimna, bo futro jest jednym z najgorszych przewodników ciepła, przyjmuje ciepło bardzo powoli i nieznacznie je oddaje, nie dozwala ciepłu naszego ciała uchodzić. Nie dla tego więc futro grzeje, żeby się w niem zamykało ciepło, ale dla tego, że zatrzymuje naturalne ciepło naszego ciała. To samo powiedzieć można o wacie, pierzu, które są także złemi przewodnikami ciepła.

Kolory nawet są dobremi lub złemi przewodnikami ciepła. Stąd to latem czujemy większe ciepło w czarnej sukni niż w białej, bo czarny kolor i w ogólności wszystkie ciemne barwy łatwiej przyjmują i pochłaniają słoneczne ciepło, niżeli białe. Dla tego białe i inne jasnych barw suknie latem bronią nas od zbytecznego ciepła. Zimą zaś przeciwnie, czarny lub inny ciemny kolor lepszy jest w domu, bo łatwiej przyjmuje ciepło pieca i oddaje go ciału.

Weź

Weź dwie butelki, oklej jednę czarnym nie-błyszczącym papierem, drugą błyszczącym np. pozłacanym. Wlej do nich zimnej wody i postaw na słońcu. Po pewnym przeciągu czasu termometr (a) pokaże, że w butelce pokrytej czarnym papierem woda będzie cieplejszą, to jest więcej pochłonie ciepła. Druga błyszczącym oklejona papierem będzie miała zimniejszą wodę. Połóż na śniegu kilka płatków różnych kolorów, ujrzysz, że pod czarnym płatkiem śnieg prędzej się roztopi, a pod białym później.

Płynne ciała należą także do złych przewodników ciepła. Jeśli kawał rozpalonego żelaza wrzucisz do wody, to te części wody, które dotykają

(a) Termometr jest to narzędzie służące do wskazania przez przybliżenie stopnia ciepła jakiego ciała lub miejsca. W innym czasie, wskażę wam dziatki, na własnem doświadczeniu oparty sposób robienia tego narzędzia.

dotykać będą żelaza, zamienią się w parę, dalsze zaś części pozostaną, tak samo prawie zimnemi jak były przedtem, dla tego, że woda jest złym przewodnikiem ciepła. Jeżeliby woda była dobrym przewodnikiem, to latem i zimą ryby nie mogłyby w niej wyżyć i zginęłyby wszystkie.

Opowiadania.

1.

Majtek angielski.

W czasie kiedy upojony szczęściem i zwycięztwami Napoleon I, z dumną i niechęcią przed nim się ukorzyć Anglią, w największem zostawał nieporozumieniu, majtek jeden angielski będący w niewoli francuskiej, postanowił dostać się do swego kraju. W tym celu, uciekłszy z pod straży, schronił się do lasu nad brzegiem morza, gdzie, przy pomocy jedynie małego nożyka

zrobił

zrobił łódkę z kory, na której zamiar swój miał przywieść do skutku. Praca dokonana, łódka, zaledwie na małej rzece mogąca być użytą, gotowa zupełnie, czeka tylko sposobnej pory. W pogodne dnie, śmiały żeglarz włazi na najwyższe drzewo i bystrem okiem śledzi po morzu, azali nie ukaże się gdzie angielski okręt, aż oto jednego dnia upragniony postrzega przedmiot. Co za radość dla majtka! uszczęśliwiony chwyta swoją łódkę i piorunem leci do brzegu, ale dostrzeżony i zatrzymany został. Łódka na barkach, i pośpiech z jakim biegł do brzegu, obudziły podejrzenie. Stawiono go przed Napoleonem, który w najwyższym stopniu zdziwiony, jak to, zapyta majtka, miałeś tej wątłej łódce powierzyć swe życie i puścić się na morze? w jakim zamiarze chciałeś to zrobić? Chciałem, Najjaśniejszy Panie, powrócić do swojego kraju, i, jeśli pozwolisz, w tej samej łodzi natychmiast popłynę.

— Zapewne masz kochankę w swoim kraju, z

którą się dawno rozstałeś, do której tęsknisz, i dla tego przykro ci tutaj.

Nie – najjaśniejszy panie, kochanki nie mam, ale mam nieszczęśliwą a dobrą matkę, którą raz jeszcze w życiu zobaczyć, jak największego szczęścia pragnę. Zobaczysz ją, odpowie Napoleon, godzien tego jesteś. Ceniąc tę tkliwą synowską miłość, obdarzył majtka znaczną summą, i kazał go odesłać do Anglii.

11.

Dobroczyńca.

Młody jeden człowiek, z wyższej sfery towarzystwa, został niedawno na małej ulicy w Paryżu zatrzymany: „śmierć lub pieniądze" rzecze do niego napastnik. Odważne i czułe serce młodzieńca odróżnia wkrótce głos nieszczęśliwego, co go nędza do wystąpku skłania, od głosu zbrodniarza, którego złość do tego prowadzi. Młodzieniec był pewny, że widzi przed sobą nieszczęśliwego którego podźwignąć może.

— Czego chcesz nędzniku, czego chcesz, rzecze do niego tonem surowym i twardym.

Niczego

— Niczego panie, odpowie mu napastnik łkając, niczego od pana nie chcę.

— Kto jesteś, czem się zajmujesz?

— Jestem biedny szewczyk, nie będący w stanie wyżywienia żony i czworga dzieci.

— Nie wiem..., ale jestli to prawdą co mówisz? (widział dobrze, że ten nieszczęśliwy prawdę mówił), gdzie mieszkasz?

— Na takiej ulicy, u piekarza.

— Zobaczę, chodźmy.

Szewc pociągnięty siłą rozkazującego tonu, prowadzi młodzieńca do mieszkania swego. Przychodzą do piekarza, znajdują tylko kobietę w sklepie.

— Znasz pani tego człowieka?

— Tak panie, jestto biedny szewczyk, mieszkający na 5 piętrze, i z trudnością mogący utrzymać liczną swą rodzinę.

— Jakże pani mogłaś dozwolić, żeby rodzina ta była bez chleba?

— Jesteśmy panie ludzie młodzi, dopiero rozpoczynamy naszą karyerę; nie możemy wielkich czynić wydatków, i mąż mój nie chce, żebym więcej nad 24 soldy człowie-

kowi

kowi temu pożyczała.

— Proszę dać dwie bułki chleba... weź ten chleb i idź do siebie.

Szewc słucha, wzruszony jak kiedy miał popełnić występek, ale wzruszenie to było odmienne. Wchodzi, ~~ż~~ żona i dzieci rzucają się do żywności. Młodzieniec odchodząc zostawia u piekarki dwa luidory, aby tej biednej rodzinie dostarczała podług potrzeby. W kilka dni potem odwiedza rodzinę której dał drugie życie, i każe ojcu aby szedł za nim. Przyprowadza swego biednego klienta do sklepu obficie zaopatrzonego w towar, narzędzia i materyały do jego profesyi potrzebne.

— Byłżebyś kontent i poczciwy, jeśliby ten sklep do ciebie należał?

— Ach Panie!... ale niestety! — cóż? — nie jestem jeszcze majstrem, a sklep kosztuje... — Prowadź mnie do przysięgłych syndyków. Tytuł majstra kupiony został, a szewc wprowadzony do sklepu.

Autor tego czynu ludzkości, na zapewnienie losu ~~tego~~ owego rzemieślnika wydał trzy do czterech tysięcy liworów. Nie dał się poznać i próżno dla odkrycia ~~jego~~ jego czyniono starania.

III.

Rozalia księżniczka Lubomirska.

W epoce rewolucyjnego terroryzmu, w epoce też i panowania gilotyny, księżna Róża Lubomirska, równo urodzeniem jak pięknością znakomita polka, mieszkała w Paryżu; cała zajęta wychowaniem jedynej córki swojej Rozalii pięć lat wieku wówczas mającej, pewną była, że święte prawa narodów opiekować się nią będą; lecz oskarżona przed komitetem rewolucyjnym, stawiona przed krwawym trybunałem, podejrzana, obwiniona, na śmierć skazaną została.

Od daty uwięzienia swego w Conciergérie rozdzielona była ze służącemi; córce jednak pozwolono u niej bywać. Nieszczęśliwa matka, w dniu, w którym ją na gilotynę prowadzono, powierzyła Rozalię staraniom towarzyszek swojej niedoli, a kiedy i te podobnego wkrótce doznały losu Rozalię innych więzionych przekazując opiece, biedne dziecię, prze-

chodzą

chodząc od jednej ofiary do drugiej, zostało nakoniec przygarnięte przez praczkę więzienia, nazwiskiem Bertot. Zacna ta kobieta, tknięta losem Rozalii, to szóste dziecko przydała do pięciu, których była matką i stała się opatrznością dla biednej sieroty więzienia.

Rozalia chociaż się znalazła w położeniu różnem zupełnie od tego, do jakiego los ją przeznaczył, z całą gorliwością jednak pomagała swej opiekunce w jej pracy. Miłem postępowaniem i uległością, potrafiła jej się podobać, i zasłużyć na to, że ją na równi z własnemi uważała dziećmi.

Panowanie krwi ustało nareszcie; a z regestru ofiar tej epoki, ogłoszonego w całej Europie, dowiedzieli się przyjaciele księżny, że na ziemi, którą nazywano wolną, znakomita polka, życiem zbytnią ufność zapłaciła. Na tę wiadomość hrabia Rzewuski brat księżny (a) poleciał do Paryża, i wnet, przy pomocy władz miejscowych, zajął się odkryciem córki siostry

swej

(a) Może brat cioteczny, bo księżna była z domu hrabianka Chodkiewiczówna. (X. A. M.)

swej nieszczęśliwej, lecz wciągu kilkunastu tygodni daremnemi się okazały wszelkie poszukiwania. Ogłoszenia, obietnice nagrody, opisy powierzchowności, nic zaniedbanem nie było. Uboga praczka nie czytała gazet ani ogłoszeń. Dozorca więzienia, który o dziecku mógłby dać niejakie objaśnienie, nie żył, i dwóch już miał następców. Zdawało się więc, że nic nie naprowadzi hrabiego na ślady do odkrycia tak drogiego dziecka, wszystko kazało wnosić, że nędza i sieroctwo przyśpieszyły koniec jéj życia... Lecz Opatrzność jakby kończąc czas próby dla Rozalii dozwoliła, aby praczka więzienia Conciergérie, była także praczką hotelu Grange-Batelière, w którym hrabia, przybywszy do Paryża stanął.

Jednego poranku, kiedy Rozalia towarzysząc drugiéj swojéj matce, niosła bieliznę do hotelu, postrzegł

ją hrabia przechodzący dziedzińcem i uderzony jej piękno-
ścią, mniemał w rysach jej widzieć niejakie podobień-
stwo do swej siostry.

— Jak ci na imie, moje miłe dziecko, zapytał Rozalią.
— Rozalia, panie, odpowie dziecie.
— Rozalia!... i zwracając mowę do żonej Berkot
zapytał hrabia, czy to dziecie do pani należy?
— Tak panie, to dziecie do mnie należy, bo je od lat
trzech utrzymuję. Lecz nie należy przez to rozumieć, że
jestem jego matką; jestto bowiem córka jednej cudzoziem-
ki, nie mająca ani ojca, ani matki.
— Córka mówisz cudzoziemki?
— I wielkiej pani, która została gilotynowaną,
za czasów Roberspiera.

Odtąd hrabia nie wątpił, że to dziecie jest jego sio-
strzenicą. Dla lepszego o tém przekonania się, przemówił
do niej po polsku... Rozalia na dźwięk mowy przypomi-
nający miłe wrażenia jej lat dziecinnych, zalała się
łzami, i rzucając się w objęcia hrabiego, och! rozumiem
cię panie, rozumiem... powtórz jeszcze... tym językiem

przemawiać

przemawiała do mnie matka moja.

Widząc się u kresu swoich życzeń hrabia, przycisnął Rozalię do serca.

Rozalio rzecze, kochana Rozalio, znalazłem cię nareszcie, ty jesteś moją siostrzenicą, córką mojej siostry.

Potem obracając się do dobrej Bertot, którą zdziwienie uczyniło nieporuszoną i oniemiałą:

Zacna kobieto, rzecze do niej oddając Rozalię, bądź jej matką nazawsze, nie rozstawaj się z nią nigdy, kiedy sierotę do swej przyjęłaś rodziny, jej rodzina odtąd będzie twoją.

To rzekłszy dał jej worek pieniędzy, obowiązując, aby tego samego dnia przeniosła się z dziećmi swemi na mieszkanie do hotelu Grange-Batelière.

Hrabia wkrótce opuścił Paryż i powrócił do Polski, dokąd dobra Bertot towarzyszyła Rozalii: dzieci praczki odebrały, pod okiem hrabiego, najtroskliwsze wychowanie. Synowie umieszczeni w Uniwersytecie Wileńskim, weszli potem do wojska polskiego, i byli

adjutantami księcia Józefa Poniatowskiego. Córki, bogato wyposażone, powychodziły za polskich obywateli.

Co do pięknej księżniczki Rozalii, sieroty więzienia, ona poślubiła kuzyna swego hr. Rzewuskiego, i kiedy w czasie Wiedeńskiego kongresu, opowiadała tę tkliwą historyę hrabiemu de la Garde, który ją w powyższych skreślił wyrazach (a), szczęście i bogactwo nad jej przeznaczeniem złotą świeciły gwiazdą; zacna Bertot żyła zawsze przy niej; hrabina kochała ją jak matkę, zowiąc ją swoją opatrznością.

(Na dopełnienie powyższej wiadomości, dodajemy następną: Róża z Chodkiewiczów księżna Lubomirska, gilotynowana r. 1793 była żoną Aleksandra Lubomirskiego Kasztelana Kijowskiego, człowieka ruchliwego charakteru, lubiącego przygody i niebezpieczeństwa i ciągle biegającego po morzach i lądach. Wzmiankę tyczącą się okoliczności śmierci jego żony znaleźć mo-

na

(a) W Journal des Demoiselles, 1839 N. 1.

żna w Dictionnaire universel historique etc. edit. 1810. Paris Tom X gdzie zamiast Lubomirska powiedziano Lubonińska. Córka jéj Rozalia, sierota więzienia, małżonka Wacława Rzewuskiego, urodziła się r. 1786, i w bardzo podeszłym wieku, niedawno, przed trzema czy cztérma laty, skończyła życie. W 1840 r. d. 29 Stycznia, odbył się w Rzymie obrzęd zaślubin jéj córki Kaliksty hrabianki Rzewuskiéj z Michałem Aniołem Caetani księciem Teano, potomkiem znakomitéj rodziny włoskiéj.)

IV.

Krzysztof Strzemeski.

Pod koniec wieku szesnastego, a prawie w trzech częściach siedmnastego, żył Krzysztof ze Strzemeszna na Mikulińcach Strzemeski. Uro-

drony

dzony jedług Piotra Dunina (a), z Andrzeja Stanisława Chorążego Halickiego i Katarzyny Boryszawskiej, przykładnych i bogobojnych rodziców, bogobojne i przykładne odebrał wychowanie. Mając lat 18 wieku puścił się w zawód wojskowy, i na wielu wyprawach odznaczył się przytomnością umysłu i męstwem. Roku 1610 ze Stanisławem Żółkiewskim był w Moskwie. Pod Cecorą kulą ugodzon, i przez Turków wzięty, ze Stanisławem Koniecpolskim, Księciem Koreckim i innymi do Konstantynopola był zaprowadzony. Zostając w niewoli u bogatego

(a) Podług Duńczewskiego zaś (T. II. 16.) z Mikołaja Strzemeskiego, który goniąc Tatarów, w kwitnącym jeszcze wieku, za Jazłowcem zabity został. Wszakże więcej Duninowi wierzyć można, znającemu Krzysztofa i każącemu na jego pogrzebie. Podług tegoż Dunina Strzemescy pochodzić mają od książąt Mazowieckich, a ojciec Krzysztofa był consilio dux manu miles, wódz radą, walecznością żołnierz. Kazania pogrzebne X. Piotra Dunina T. I. str. 401. Niesiecki daje także Krzysztofowi ojca Andrzeja.

tego jednego Turka, umiał pozyskać ufność jego tak wielką, iż raczéj za przyjaciela, niż za niewolnika miany, domem jego rządził i majątkiem. Po dwóch latach, zmówiwszy się z kilku innymi spółrodakami, uciekł z Turcyi.

Służył potém pod Sieniawskim, daléj pod Stefanem Potockim, i w wielu zdarzeniach gromił Tatarów. W jedném z tych zdarzeń (pod Budyłowicém) własną ręką schwytał dwóch znakomitych Murzów, a gdy ich oddał Potockiemu, otrzymał od niego miasteczko Horodenkę na dziedzictwo, w którém później oblężony przez znaczną siłę Tatarów, dzielnie ich odparł, często z korzyścią czyniąc wycieczki. Gdy Rakoczy książe Siedmiogrodzki wtargnął do Polski, Krzysztof Strzemeski był Rotmistrzem ziemi Halickiéj i pospolitego ruszenia. Obrany potém podsędkiem téjże ziemi, był nim lat 40, i nietylko wyższych dostojeństw nigdy nie pragnął, lecz ofiarowany mu przez Jana Kazimierza, przez wzgląd na jego wielkie zasługi,

Kasztelanji Bieckiej, nie przyjął. W poselstwie jeździł do Wołoch i Multan.

Był to w swoim czasie zawołany gospodarz. Dziedzic po ojcu dwóch wiosek, nie uciskiem poddanych, lub krzywdą bliźnich, nie obrzydłym skąpstwem, bo owszem lubił jak mówią żyć z ludźmi, i rad widział u siebie częste zebrania przyjaciół i znajomych, których hojnie, jednak bez zbytku podejmował, lecz dobrym rządem, rozsądną ekonomiką, znacznie powiększył majątek, przykupieniem miasteczek Podwysokie, Mikulińce i kilku folwarków.

Pobożny był bardzo i miłosierny. Mszy nigdy inaczej nie słuchał tylko klęcząc, nigdy nie minął w drodze kościoła żadnego, a jeśli był zamknięty, modlił się przed drzwiami. Każdego ubogiego wsparł jałmużną i podstarościm swoim nakazywał zawsze pewną kwotę, którą powinni byli rozdać między ubogich. Niedostatnich rodziców córki brał na wychowanie i wyposażał. Sługom pensyą płacił najregularniej, mówił bowiem: „bo to grzech, a do tego boję się,

żeby

żeby jeden grosz cudzy, nie wygrywał moich sto w mieszku się pomieszawszy". Poddanych kochał jak własne dzieci, czuwał, aby im nie czyniono najmniejszej krzywdy, wnikał w ich położenie, i cieszył się kiedy jemu samemu, potrzeby swe przekładali. Podczas wielkiego głodu na Rusi, gumna swoje otworzył, i żywił przez czas niemały, nie tylko własnych poddanych, lecz wielką liczbę innych ludzi, mówił zaś zawsze, że nic na tem nie stracił, bo potem przez lat kilka we dwójnasob więcej zbierał z pola. W Buczaczu i Brzeżanach, place pokupiwszy, mówi Niesiecki, dworki pobudował, żeby w nich, podczas nieprzyjacielskich inkursyj, ludzie jego mieli przytułek.

W Podwysokiem wybudował kościół i pięknie go ozdobił, w innych miejscach kilka szpitalów wystawił.

Jaka w nim była miłość synowska, dowodzi następne zdarzenie. Tatarzy, zawzięci nieprzyjaciele Krzysztofa, wpadłszy do ziemi Halickiej, zabrali jego matkę i

uwiezli do Krymu. Dobry syn, mimo najsilniejsze odradzania przyjaciół, sam udał się z okupem do Krymu, gdzie zastał matkę bez nadziei życia chorą, która dawszy mu błogosławieństwo, wkrótce umarła. Za martwe zwłoki matki ofiarował Krzysztof tenże okup jaki dawał za żyjącą z wielkiem Tatarów podziwieniem, a gdy wiózł ciało do Polski, rodzice zachodzili mu drogę z dziećmi, którym miłość Krzysztofa ku matce rozpowiadali, ściskając mu głowę płakali nad nim i błogosławili jemu.

W niepomyślności nie narzekał nigdy Krzysztof, lecz zawsze do woli boskiej się stosował. W jednem wtargnięciu nieprzyjaciel zabrał mu w kilku folwarkach, stado koni, w którem więcej 800 sztuk było. Kiedy wiadomość o tem otrzymał Krzysztof, rzekł spokojny z pacyentem pańskim: „Pan Bóg dał, Pan Bóg wziął, niech będzie imię pańskie błogosławione, da Bóg więcej gdy będę godzien tego".

Był dwa razy żonaty, raz z Katarzyną Kurd-

wanowską, drugi raz z Elżbietą Rożniatowską, i z obydwóch zostawił potomstwo.

Umarł Krzysztof Strzemeski r. 1671 d. 29 Września, mając lat blisko 90. Pochowany w farnym Kościele w Brzeżanach. Nad grobem jego kilku ze stanu rycerskiego miało mowy, między innymi Gabryel Silnicki Kasztelan Kamieniecki. Z duchownych Piotr Dunin Jezuita sławny w owym czasie kaznodzieja, i Franciszek Przybytowicz Exprowincyał Bernardyński.

V.

Józef de Campo Scypion.

Józef de Campo Scypion Marszałek Nadworny W. X. Lit., Starosta Lidzki, Borciański, Mukarowski, Półkownik chorągwi Petyhorskiej, od lat dzie-

cinnych szczęśliwe okazywał skłonności do cnót, które, w młodociane serce jego, pobożni rodzice, troskliwie wpajali. Przyjęte wrażenia pobożności, obowiązków religijnych, miłości bliźniego, wzmocniły się w nim z wiekiem i towarzyszyły mu do końca życia. Na sobie okazał dowód tego, co wieków doświadczenie stwierdziło, że kto wcześnie zakochał się w cnocie, najczęściej wiernym jej był zawsze, że zatem, dalszych lat moralności człowieka, od lat jego dziecinnych zależy. Nowe naczynie, mówi poeta rzymski, zachowuje długo woń płynu, którym raz było napełnione. To samo dzieje się z sercem człowieka, które trwale zatrzymuje nałóg cnoty i wrażenia w dziecinństwie powzięte.

Szczegóły życia Józefa Scypiona nie są nam wiadome. Te które tu podajemy wzięte są z Niesieckiego, oraz z *krótkiej relacyi o życiu i śmierci* jego, krótkiej, bo tylko na dwóch zawartej kartkach druku.

Młodym jeszcze będąc, bo zaraz po wyjściu ze szkół,

Józef Scypion obrany był deputatem na trybunał Litewski, 1717, potem posłem ze Smoleńskiego, i deputatem do Konstytucyi 1724 i 1726 r. Był także kommissarzem do odnowienia dawnych traktatów z Cesarzem Rzymskim i do inkorporacyi Kurlandyi. Na dwóch sejmach Grodzieńskich i na konwokacyi Warszawskiej kandydat do laski sejmowej, ale sejmy te przed elekcyą marszałka zerwane zostały, na konwokacyi zaś, nie chcąc dać z siebie do jakich niezgod powodu, dobrowolnie kandydatury tej odstąpił. Dwa razy był żonaty, raz z Weroną z Dąbrowicy Firlejówną, ostatnią fortun i domu jedynaczką i dziedziczką, drugi raz z księżniczką Radziwiłłówną wojewodzianką Nowogrodzką.

Niezmiernie wielka była pobożność w Scypionie. Codzień mszy słuchał, a nawet ostatniego dnia życia, przez znaki dzwonka z kaplicy dawane, uważał co się w tej świętej ofierze działo. Przez lat pięć ostatnich, do spowiedzi każdego prawie tygodnia przystępował.

Do różnych świętych wielkie miał nabożeństwo,

a

a szczególnie do N. Panny, do której wielką liczbę modlitw na pamięć umiał. A w modlitwie cała dusza jego była, z takiem ją zebraniem uwagi, z taką skruchą i pokorą odprawiał. Z największem upodobaniem czytał pismo ś., i księgi moralnej treści. Zmysły i namiętności martwił. W różnych cnotach większy coraz starał się czynić postęp.

Szczególne miłosierdzie okazywał dla ubogich, których znaczną często wspomagał jałmużną. Przez krótki czas pobytu w Warszawie i Wilnie, na ubogich około dwóch tysięcy tynfów (a) wydał. Innych czasów nierównie więcej. W drodze żadnego szpitalu, żadnego u-

bogiego

(a) Tynf dawna polska moneta srebrna, ważyła złt 1 gr 8, nazwana od Tynfa, któremu, wraz z Tytusem Boratynim Starostą Osieckim, za Jana Kazimierza, Rzeczpta wypuściła arędą mennicę, i który, unikając zasłużonej kary, za fałszowanie tynfów, uciekł za granicę. Podobnie też szelągi nazwane są od Bernarda Schelinga Toruńczanina. Były także tynfy saskie (złt 1. gr 5) Gdańskie (złt 1. gr. 3) Wrocławskie (gr 25 szel. 1) i Berlińskie (gr 15). Te ostatnie są to zapewne owe berlinki, niedawno jeszcze na Litwie kurs mające.

bogiego, bez jałmużny nie minął. Ostatnią wolą rozporządził, aby po jego śmierci reszta w skarbie pieniędzy, między ubogich podzielona była. Poddanym wszystkim półczynszu rocznego darował, a pogorzelcom w Serokomli całoroczny czynsz odpuścił.

W półrocznej ostatniej chorobie, śród ciężkich boleści, okazał się dziwnie cierpliwym, zdającym się na wolę bożą. W ciągłych zostawał aktach, po każdém ocknieniu się ręce i oczy do Boga podnosząc, mawiał: „gotowe serce moje Boże„. Żonę ciągle obowiązywał, aby się nie inaczej modliła za zdrowie jego, tylko jeśli się Bogu podoba, aby żył.

Po przyjęciu ostatnich Sakramentów, gdy mu doktor krótkość życia zapowiedział, rzekł niezmieszany: dobrze: Laetatus sum in his, quae dicta sunt mihi, in domum Domini ibimus. Psal. 121. Uweseliłem się z tego co mi powiedziano, pójdziemy do domu pańskiego„. Poczém podpisał testament, przeprosił przytomnych, kazał także przeprosić wszystkich officyalistów, poże-

gnał

gnał matkę, żonę, syna pobłogosławił, odprawił spowiedź, i wiatyk ś. przyjął.

Kiedy nastąpiło polecanie duszy, sam jeszcze w części odpowiadał; nakoniec, śród aktów, całując krzyż najpobożniej, spokojnie zasnął w Panu d. 28 Maja r. 1743, mając lat 43 wieku. Pogrzebiony w Werenowie u Pijarów, których w tem miejscu ojciec jego Jan Scypion Kasztelan Smoleński fundował.

Błogosławieństwo, które dał synowi swemu Staroście Lidzkiemu, w te słowa było: „Błogosławieństwo ci moje daję. Bóg który był ze mną przez święte łaskę swoję, niech cię ma w opiece swojej; kochaj go z całego serca, i żyj w bojaźni jego, a pamiętaj, żebyś raczej obierał sobie stratę dóbr wszystkich, i największe w życiu nieszczęście, niż się odważyć na obrazę majestatu boskiego. We wszystkiém stosuj się do woli boskiej, i niczego nie pragnij, tylko jeśli się podoba Bogu. Poczciwość, prawdę, rzetelność zachowaj nienaruszenie. We wszystkich sprawach samego Boga miej sobie za koniec. Ja ci tobie błogosławieństwo moje daję, lecz, aby cię Bóg

błogo

błogosławił, com rzekł, zachowaj".

Nieco z historyi naturalnej.

Boa-dusiciel.

Jednym z największych i najniebezpieczniejszych gadów jest bez wątpienia Boa-dusiciel żyjący w gorących strefach Azyi, Afryki i Ameryki, i mający kilka odmian. Amerykański jest bodaj największy, ma bowiem 30 stóp a czasem i więcej długości, a tak jest gruby, że podróżni spotykający go podczas zimnego deszczu, leżącego nieruchomie w trawie, brali go za kłodę drzewa, ale kiedy ta mnie-

mana kłoda ruszać się zaczęła, przerażeni uciekali jak najśpieszniej. Dusiciel upstrzony żywemi barwy, w zwojach swoich wydaje się to czarnym, to różowym, to złotawym, to popielato-żółtym, podług tego na jaką część ciała jego patrzymy. Rozmaitość tych barw bardzo symetrycznie rozłożonych zależy może od płci i od wieku dusiciela. Przedłużona głowa zdolnym go czyni do otwierania niezmiernie szeroko paszczy, mocnemi i ostremi, lecz bez jadu, opatrzonej zębami. Bo w istocie na coby się zdał jad zwierzęciu, które ogromną swoją siłą, wszelkiem stworzeniem zawładnąć jest w stanie.

Boa przebywa zwykle w trawach wysokich, w ciemnych jaskiniach, albo na drzewie, gdzie oczekuje zdobyczy która nie może mu się wymknąć, jak tylko ją wielkiemi oczami swemi zajrzy. Czy się pokaże lekka gazella, jeleń, czy pantera lub tygrys, czy ogromny bawół, niema dla nich sposobu ocalenia. Jak strzała rzuca się na nie boa, i w jednej chwyli chwyta

ta swą zdobycz. Jego zwoje ściskają ją jak kleszczami i duszą; drzewo służy mu często za punkt oparcia, którego się trzyma ogonem. Zwinność małpy chroniącej się na samym szczycie drzewa nie ocala jej od dusiciela. Okręca się on około pnia ogonem, a straszną paszczą dosięga jej na najcieńszej gałęzi. Rzeka nawet nie jest bezpiecznem od niego schronieniem, on i tam ściga swą ofiarę. W braku innego pożywienia, w wodzie poluje niekiedy na ryby, które, wypuszczając z siebie nieco pokarmu jako przynętę, zwabia.

Jeżeli zdobycz którą zachwycił, nie jest zbyt wielką, pochłania ją od razu; jeśli zaś ogromna massa jak bawół, zmieścić się w paszczy jego nie może, wtenczas gniecie ją, rozciąga, okrywa obfitą i cuchnącą śliną, i powoli, nie rozdzielając na części, połyka. Wtenczas tułów jego rozciąga się tak, że miejsce w którem pochłonięta zdobycz leży, znacznie wy-

datnicje i widzianem Tatoo być może. Ponieważ zaś ogromna ilość pokarmu, ugniata mu płuca, oddech jego staje się trudnym, dla tego Dusiciel podczas trawienia śpi trzy albo cztéry dni jakby w otrętwieniu. Wtenczas Negrowie i Jndyanie ubijają go łatwo, zdejmują skórę i jedzą mięso, które, podług ich opowiadania, tłuste jest i smaczne jak świnina. W innym razie, dla najodważniejszego człowieka, który się spotka z dusicielem, nie ma żadnej ocalenia nadziei.

Dusiciel pełza po trawie tak ciężko, że ją mocno ugniata, i po téj tylko, przez niego zrobionéj drodze, można go znaleźć.

Dziwna że jaje, z którego taki potwór ogromny wychodzi, ma tylko dwa, najwięcéj trzy cale średnicy.

Wieku jego z pewnością oznaczyć nie można, zdaje się jednak, że długo żyje. Skórę zmienia kilka razy do roku. Negrowie poszukują jéj i chowają, mając dla niéj cześć jakąś religijną.

Oto

Oto przykład żartobliwości dusiciela. Przestępca jakiś na wyspach Filipińskich uciekłszy z pod straży, skrył się w sklepie pod jednym domem, dokąd ojciec jego, wiedzący o tém schronieniu syna, i pragnący go ocalić, przynosił mu jedzenie. Razu jednego przyszedł on do sklepu podług zwyczaju, i nie znalazł syna, ale znalazł tam leżącego, w twardym śnie pogrążonego ogromnego dusiciela, którego przy pomocy towarzysza swego, ubił. Syn, który uciekł od szubienicy, czy od innego rodzaju śmierci, znalazł ją w żołądku dusiciela, gdzie go właśnie ojciec jego odkrył.

Krokodyl.

Krokodyl należy do rodzaju jaszczurek. Żyje tylko w Nilu w Egipcie, ma do 30 stóp długo-

ści

ści i jest niezmiernie żarłoczny i silny. Głos jego podobny do głosu dziecka. Samica dwa lub trzy razy do roku składa w piasku 20 jaj wielkości gęsich, z których wychodzą młode jedynie od ciepła słonecznego. W Ameryce jest inny gatunek krokodyla zwany kajman, daleko mniejszy od Egipskiego.

Skórę krokodyla pokrywa łuska a paszcza pełna ostrych zębów. Na lądzie z trudnością chodzi, ale w wodzie niezmiernie jest zwinny i szybko pływa. Napotkaną zdobycz chwyta w okamgnieniu; człowiek nie zdołał nawet zakrzyczeć, już krokodyl chwyciwszy go za rękę lub nogę wciągnął do wody. Krokodyla ubijają strzałami lub oszczepami, łapią także na wielkie haki, na które nakładają duży kawał mięsa. Złowionego krokodyla wyciągają na brzeg, ubijają, i mięso jego jedzą. Opowiadają o jednym myśliwym, że brał z sobą dwa psy, i przywiązywał ich na brzegu, a sam krył się blizko w kupie tomów. Jak tylko do bezbronnych psów zbliżył się

krokodyl i obrócił się żeby uderzeniem ogona strącić ich do wody, wtenczas myśliwiec wypadłszy z swej kryjówki uderzał go oszczepem w szyję, a ponieważ krokodyl rzucał się natychmiast do rzeki, śmiałek płynął za nim póty, póki raniony zwierz nie wynurzył się na powierzchnię wody. Wówczas wskakiwał mu na grzbiet i wierną ręką zadawał mu cios śmiertelny. Ale polowanie na krokodyla jest bardzo niebezpieczne, jest on bowiem niezmiernie silny i wytrzymały na ciosy, a skórę ma tak twardą że kula karabinowa z trudnością się przebija.

Kondor.

Jestto jeden z największych ptaków drapieżnych, ma bowiem długości 3 stopy z górą, a z rozpostartemi skrzydły 11 stóp dochodzi. Żyje w Ameryce południowej na górach Andami czyli Kordylierami

zwanych

zwanych, karmi się wyłącznie mięsem. Kondor nadzwyczaj jest silny. Dwa kondory mogą zabić człowieka. W Andach napadają często na byka, i wyrwawszy mu oczy i język ubijają i zjadają. Oto przykład jego siły. Zdrowy Kornwalijski górnik jadąc w Ameryce południowej równiną postrzegł wiele ptaków około końskiego trupa. Powodowany ciekawością zbliżył się ku nim i zaczął im się przypatrywać. Były to kondory. Skoro postrzegły człowieka rozleciały się, ale jeden zbyt się objadł, i nie będąc w stanie wznieść się wysoko, przeleciał niewielką przestrzeń i spuścił się znowu na ziemię. Górnik podbiegł do niego i chwycił za szyję którą starał się skręcić. Zawiązała się wtenczas między niemi zawzięta walka, w której górnik stracił zupełnie siły. W końcu jednak

pokonał

pokonał kondora. Gdyby nie to, że kondor zbytecznie się objadł, kto wie, czy pokonałby go górnik, czy nawet nie uległby jego sile?

Przytaczamy tu w skróceniu opis wyprawy do gniazda kondora i walki z nim jednego Europejczyka przybyłego do Ameryki południowej, a następnie tamże osiadłego.

„W najlepszem usposobieniu ducha, mówi on, wybrałem się z przyjaciółmi na zamierzoną ekspedycyą, nie zważając na odradzania przewodnika naszego, który w czasie nadzwyczaj trudnego wejścia na skałę, na której gniazdo się znajdowało, nie przestawał ciągle nam kłaść w uszy, na jak wielkie narażamy się niebespieczeństwo.

Zmęczeni niesłychanie dopełzliśmy nareszcie do szczytu skały, gdzieśmy się posilili i wypoczęli. Pokrzepieni na siłach, zaczęliśmy się wdrapywać na

rożne

różne występy skały, skądby można zajrzeć do gniazda kondora, ale próżną tylko podjęliśmy pracę i postanowiłem zatem dostać się sam do niżej od innych leżącego występu, i tam przekonać się, jeśli kondor w gnieździe, czy niema.

Po krótkiej naradzie zdecydowano, że towarzysze moi spuszczą mnie na sznurze do owego występu, i jeśli nie znajdę kondora w gnieździe, chwycę jednego lub dwóch młodych, i towarzysze moi za pomocą tegoż sznura wciągną mnie znowu na wierzch skały.

Obejrzałem moje rewolwery, przekonałem się, że kindżał lekko się wyjmuje z pochwy, obwiązałem się nareszcie mocno końcem sznura, i zacząłem powoli się spuszczać. Jak tylko dostałem nogami żądanego występu, polazłem pełzając wązkim jego brzegiem i wreszcie ujrzałem gniazdo. Gniazdo to zbudowane z grubych gałęzi miało 3 lub 4 stopy średnicy i wyłożone było jakąś miękką istotą.

Kondora na szczęście nie było w gnieździe, a

tylko dwoje młodych, każde wielkości sporej gęsi. Nie tracąc czasu wyjąłem z torebki sznurek, i zacząłem je wiązać, ale w tém dziki krzyk zwrócił moję uwagę. Podniosłem oczy i z największem przerażeniem ujrzałem w dali nad jeziorem potwornego ptaka, prosto zmierzającego do gniazda.

Cała okropność mego położenia stanęła mi przed oczami. Nigdy tej strasznej chwili nie zapomnę. Sam jeden na wązkim gzymsie prostopadłej skały, jakby odcięty od reszty świata, bez żadnej na pomoc towarzyszów moich nadziei, widziałem zbliżającego się nieprzyjaciela groźnego, mającego śmiertelną rozpocząć ze mną walkę.

Postanowiłem jednak życie moje drogo sprzedać; z rewolwerem i kindżałem w ręku czekałem napadu.

I nie długo czekałem. Z okropnym krzykiem, z wściekłością rzucił się na mnie kondor. Pierwej jednak nim ostre swe szpony we mnie utopić zdo-

łał

łał, puściłem w niego trzy wystrzały. Z energiją rozpaczy, jedną ręką uzbrojoną kindżałem broniłem się od strasznych uderzeń dzioba, drugą mocno trzymałem się za krzak dzikiej winorośli, żebym nie został strącony w przepaść. Pomimo niezliczonych ran, jakie zadawałem ostrym kindżałem, kondor walczył z jednostajną siłą i srogością, ja zaś czułem że coraz więcej słabnę, i że wkrótce nie będę w stanie się bronić."

Poleciwszy duszę moję Bogu, zebrałem resztę sił, i w gardle mego przeciwnika, aż do samej rękojeści utopiłem mój kindżał, ale z wysilenia straciłem przytomność i omdlałem. Niewiem jak długo to trwało, lecz kiedy się ocknąłem, znalazłem obok siebie leżącego nieżywego kondora.

Słońce chyliło się ku zachodowi, a ja raniony, słaby, zlany krwią, z rozpaczą poglądałem na wierzchołki skał niknące w mroku, który wkrótce okrył wszystkie otaczające mnie przedmioty."

Zapo-

Zapomniałem powiedzieć, że sznur na którym śmiałego Europejczyka spuszczono, jeszcze przed przybyciem kondora, zapewne ostrym brzegiem skały przerżnięty został. Rozpacz go ogarnęła. Wystrzelił trzy razy z rewolwera, ale odpowiedzi nie otrzymał; przyjaciele jego najpewniej mieli go za zginionego i wrócili do domu. Nareszcie zapalił gniazdo kondora, wtenczas dopiero dały się słyszeć wystrzały; spuszczono sznur, który go wciągnął na powrót. Szkielet ubitego kondora zdobił jego gabinet.

Sokół.

Sokół należy do rzędu ptaków drapieżnych i łowczych. Zwyczajny sokół przebywa w górzystych stronach Europy, gnieździ się na wyniosłych skałach, lata wysoko, i na upatrzoną zdobycz, z

zadziwiającą szybkością prawie pionowie spada. Sokół zwany białozor większy od zwyczajnego, najlepszy jest do polowania; skąd bardzo był poszukiwany i ceniony.

Sokoł używany do polowania nosił na głowie kapturek, zrobiony z mocnej skóry, który zdejmowano mu w chwili puszczenia go po zdobycz. Ułożenie jego do polowania bardzo wiele kosztowało czasu. Nauka ta, tyle w średnich wiekach szacowana, po wynalezieniu broni ognistej, straciła wiele na swej wartości. Ostatnie podania o niej dochowały się jednak w niektórych krajach, do końca zeszłego wieku. Król Duński i książę Kurlandzki ofiarowali corok królowi francuskiemu sokoły uczone. Wielki Mistrz zakonu maltańskiego posyłał temuż królowi tuzin ułożonych do polowania sokołów, za co, kawaler zakonu, który je dostawiał, otrzymywał w darze trzy tysiące liwrów.

Królowie francuscy trzymali po 300 sokołów,

a do ich uczenia i dozoru było około stu urzędników dobrze płatnych. Urząd wielkiego Sokolniczego królewskiego był jednym z wyższych. Za Ludwika XIV sokolarnia pochłaniała ogromne summy. Ludwik XVI starał się bardzo gałąź tej administracyi mniej kosztowną uczynić, nic jednak zrobić nie mógł i dopiero burza rewolucyjna koniec jej położyła.

Starożytnym nieznane było polowanie z sokołem. Do Europy przeszło podobno ze Wschodu, a we Francyi szczególnie było wydoskonalone.

Wspominają dziejopisarze, że cesarze Chińscy zajmowali się polowaniem z sokołami, które z nad Bajkała (Guber. Irkucka) już ułożone otrzymywali.

Jak szybkim jest lot sokoła, dowodem być może, że sokół króla francuzkiego Henryka IV wypuszczony z Fontenaiblau po upływie 24 godzin złapany został na wyspie Malcie odległej niemal o 300 mil, co daje około 12 mil na godzinę.

Polo-

Polowanie z sokołem odbywało się zwykle konno; damy tylko i szlachta zajmować się niem mieli prawo. Mówimy tu tylko o Europie. Niesiono sokoła na drągu zwanym berłem, zakapturzonego przez cały czas w którym nie polowano. Kiedy wystraszone ptastwo, kuropatwy, przepiórki, kaczki wzlatywały się szukając ocalenia w powietrzu, albo wybiegł zając, wtenczas zdejmowano kaptur i puszczano sokoła, który napadał nagle na ptastwo i ubijał.

Czacki mówi, że prawo mienia sokoła tak oznaczało szlachcica, jak prawo noszenia szabli lub szpady. Statut litewski skazywał na karę pieniężną tego, kto zepsuł gniazdo, albo młode sokoły z niego wyjął.

Arabowie w Algeryi bardzo lubią polowanie z sokołem, niektórzy nawet namiętnie się tej zabawie oddają. Posiadać sokoły uczone, znakiem tam jest wysokiego dostojeństwa osoby, stąd bogaci

i znakomici

i znakomici Arabowie, w czasie przejazdów swoich z miejsca na miejsce otaczają się świetną świtą złożoną z myśliwych z sokołami i wszystkiemi do polowania przyborami. A chociaż nie wszyscy bogaci Arabowie zajmują się polowaniem, wszystkich jednak dostojeństwo wymaga mieć taką świtę i sokoły.

Julijus Gerard opisał sposób jakim Arabowie algierscy układają sokoły do polowania.

Kiedy Arab upatrzy gniazdo sokole, wyrusza do niego zrana, i w niedalekiej od gniazda odległości puszcza ciętrzewia albo kuropatwę okręconą w siatkę już dla tego, żeby ofiara nie mogła uciec, już dla tego, żeby sokoł zaplątał się w siatkę. Jak tylko więc sokoł ujrzawszy zdobycz rzucił się na nią i w sieci się uwikłał, Arab podbiega do niego, narzuca mu na oczy kapturek, nogi wiąże łańcuszkiem, i posadziwszy go u siebie na plecach, spokojnie wraca do domu. Sokoł nagłą zaskocze-

ny ślepotą, bo kapturek zakrywa mu oczy, odurzony, nie szuka nawet sposobu ocalenia. W szałasie Araba przygotowana jest grzęda obita miękko suknem i wojłokiem, żeby sokół niemógł sobie popsuć pazurów. Jestto jego szkoła. Tutaj Arab przyucza go żeby się nie bał ludzi, psów i koni, żeby poznawał głos swego pana, i żeby pozwalał nakładać na siebie kapturek. Zostawiwszy go kilka dni bez pokarmu, Arab zmusza go spuszczać się z grzędy na ziemię, dla dostania pokarmu, albo wzięcia mięsa z jego ręki; i powoli dochodzi do tego, że sokół wlatuje mu na plecy i spokojnie nawet przy obcych ludziach siedzi. Żeby go usposobić do polowania Arab w szałasie swoim rzuca mu naprzód jakiego ptaka lub zająca, i pozwala nasycić się świeżem mięsem do woli; to przywiązuje sokoła do człowieka. Po 3 lub 4 podobnych probach następuje ostatnia lekcya. Z sokołem na głowie

albo

albo na ramieniu Arab konno wyrusza w pole. Z początku nie puszcza sokoła na ptaka wolnego lub zwierzę, ale ma w zapasie takie które uciec nie mogą, tojest albo przepiórkę z przewiązanemi skrzydły, albo z przełamaną nogą zająca. Puściwszy tę zdobycz Arab, przesadza sokoła na lewą rękę i zdejmuje mu kapturek. Sokół rzuca się chciwie na swą zdobycz, rozdziera ją i wraca do pana, który go znowu zakapturza. Po kilku takich próbach, puszcza się sokoła na swobodne ptastwo. Zdarza się że sokół wypuszczony nie chcąc się rozstawać z miłą swobodą, do pana swego nie wraca więcej. O takiego sokoła Arab nie dba, jako o niezdatnego do polowania. Najczęściej jednak sokół już przywykły do niewoli i mający w niej wygody wraca do swego pana i nie opuszcza go nigdy. Dobry wyuczony sokół idzie w handel i dobrze jest płacony.

Połyją najwięcej w Grudniu na zające i dropie. Polowanie na dropie, dla dzikiej natury Araba, ma szczególny powab. Drop widząc nieprzyjaciela, szuka ocalenia w powietrzu, leci i wysoko w górę się wzbija, ale sokół go ściga, i w powietrzu zawiązuje się walka. Często jeden sokół nie zwalczyć nie może, wtenczas wypuszczają ich kilka, które razem napadają na dropia, łamią mu skrzydła, wykluwają oczy, i drop w towarzystwie swoich morderców spada na ziemię.

Słowik.

Niepozorny z powierzchowności, najlepszym i najmilszym między ptakami śpiewakiem jest słowik. Ma on 25 regestrów głosu, a śpiew jego jest tak silny, że w cichą noc Majową, słychać go o pół mili i dalej. Corok przylatuje on do nas na wiosnę i

i w gęstych krzakach gniazdo swoje składa. Lubi przebywać w bliskości wody, gdzie rośnie czeremcha, łozina, na błotach drzewem porosłych, w ogrodach. Błotne słowiki mają być najlepsze. Gniazdo całe nieszczuczne robi słowik z suchej trawy i liści. Samiec śpiewa, podczas kiedy samica siedzi na jajach, których 3–5 znosi. Ale jak tylko młode wyjdą, co się zdarza około połowy Czerwca, samiec przestaje śpiewać, wydaje tylko głos jakiś chrapliwy i nieprzyjemny. Wtenczas ojciec i matka naprzemian zajęci są wychowaniem swych dzieci. Pod koniec Września odlatują do krajów południowych, mianowicie do Syryi i Egiptu.

Dwa są u nas gatunki słowików, większy i mniejszy czyli zwyczajny. Większy ma ciemniejszą barwę, i jest lepszym śpiewakiem. Słowik zwyczajny żyje w całej Europie a nawet w Syberyi

połud.

południowej.

Zdaniem niektórych najlepsze słowiki są w Persyi i Grecyi, potem idą Włoskie, które lepiej śpiewają od francuzkich, te znowu lepiej od angielskich. W środniej Europie najlepsze są węgierskie z nad Dunaju, i polskie z nad Dniestru i Wisły. W Rossyi słynęły niegdyś słowiki Kurskie, ale teraz straciły swą sławę, i za najlepsze uważają się z okolic Berdyczowa. O 15 wiorst od tego miasta jest las zwany Trojackim, tam najlepsze rodzą się słowiki.

Dobry słowik powinien mieć oko wielkie, nos gruby, nogi wysokie. Piotrowski (a) twierdzi, że można poznać dobrego śpiewaka po kolorze, jeśli wierzch jest ciemniejszy, a spód więcej kropkowany i piersi szersze.

Słowik śpiewa i w klatce, ale śpiew jego nie jest tak wesoły i długi jak na swobodzie, a są barba-

rzyńcy

(a) Historya naturalna i hodowla ptaków zabawnych i wyśmienitych. Kraków 1860.

rzyńcy, którzy pozbawiają go oczu, żeby w swych muzykalnych natchnieniach nie doznawał roztargnienia. Łowią go w początkach Maja siecią albo samotrzaskiem. Sieć na kilka sążni długa, a na sążeń szeroka rozstawia się w krzakach niedaleko od gniazda, napędza się w nią słowik, który mając lot niski, wpada do sieci i w niej się plącze. Do samotrzaska zasadzają samicę, albo młode wyjęte z gniazda, wabikiem także sprowadzają. Złapanemu należy końce skrzydeł związać, żeby się w klatce nie rzucał, a sufit klatki wewnątrz pociągnąć płótnem. Klatkę dobrze jest pokryć zieloną materyą, i nie przy oknie wieszać, ale śród pokoju pod samym sufitem.

Pożywieniem słowika na swobodzie, są: mali gąsieniczki, motylki, mrówki, mrówcze jaja, muszki, komary. Chowanemu dają się prusaki (persaki) tarakany, robaki mączne, a szczególnie jaja mrówczane. Jaja te latem łatwo można mieć świeże; na

zimowy zapas należy je zasuszać w piękny dzień w cieniu rozsypując na stole. Zasuszone odwilżają się ciepłą wodą, i wyciśnięte dają się słowikowi. Jaja te trzeba brać tylko z czarnoziemu, brane bowiem z sosnowego lasu przejęte są smołą, a ta szkodzi słowikom. Można także i żywe mrówki puszczać do klatki. Dobrze chowany słowik lat 5 służyć może. Zaczyna śpiewać około Bożego narodzenia, z początku słabo, potem coraz mocniej.

W Petersburgu można kupić słowika za kilka rubli, ale bogaci amatorowie za dobrego śpiewaka płacą sto kilkadziesiąt, a nawet dwieście rubli.

Przybycie słowika na wiosnę zwykle naznaczają przy końcu kwietnia. Na Wołyniu i Polesiu pińskiem zjawiają się one znacznie wcześniej. W Kowelskim powiecie na Wołyniu, w majątku hr. Krasickiego Worokomlu na s. Leon, 11 kwietnia podług starego kalendarza, słyszałem przez lat

kilka

kilka ~~na 1 Leon 11 Kwietnia podług starego kalendarza~~, całą noc śpiewające w ogrodzie słowiki, a zapewniano mnie, że już na parę tygodni przedtem śpiewały.

Zuchwalstwem byłoby chcieć oddać martwą głoską pełne życia i słodyczy trele, świetne modulacye tego melodyjnego śpiewaka. Jakiż opis może dać wyobrażenie roskoszy, której doświadczamy słuchając słowika podczas pięknej letniej nocy, śród uroczystego milczenia natury, kiedy się wszystko uspokaja jakby dla tego żeby go słuchać. Różni starali się naśladować śpiew jego głosem ludzkim. Ornitologowie Naumann i Bechstein pracowali nad tem wiele. Po francuzku śpiew ten jest naśladowany wyrazami przez Dupont de Nemours. Ale usiłowania te do niczego nie doprowadziły, bo nieznać w nich śpiewu słowika. Przed kilkunastu laty słyszałem

młodego Węgra grającego na fortepijanie własnej kompozycyi sztukę pod tytułem: Słowik, i ten najwięcej może zbliżyć się do śpiewu słowika.

Dobry słowik śpiewa taktownie, i nie miesza rytmu, a rytm ten jest prawie taki: 1) pul, pul, pul, pul. 2) kly, kly, kly, kly jak żółna, 3) sypie drobiem jakby śrótem po podłodze, 4) trrrrrrrr, 5) pleń, pleń, pleń, pleń, 6) go, go, go, go, tu, tju, ju, ju, ju, ju. Zwyczajnie zaczyna swój śpiew od tyn wit, tyn wit i td.

Na zakończenie dodam, że czytałem niedawno w pismach publicznych, że znaczny transport słowików złowionych w Galicyi i przeznaczonych na zbyt do Wiednia i za granicę, władze miejscowe skonfiskowały i wypuściły na wolność. Godna pochwały taka władz troskliwość o zachowanie i utrzymanie w kraju tego miłego śpiewaka. Słowiki często przebywają w naszych sadach i ogrodach, ale im szkodzą koty, a nierzadko swywolni chło-

pcy

pcy wybierają z gniazd młode, które marnie giną.

Koliber.

Przyroda z całym zbytkiem ozdobiła tę miłą, ze wszystkich najmniejszą, bo tylko 3 cale długości od końca ogona do końca dziobka, mającą ptaszynę; złoto na niej w obfitości rozsypane, blask jej skrzydeł przewyższa brylanty, każde piórko, każdy puszek to pryzma rozkładające promienie światła. Koliber przebywa tylko w najgorętszych strefach nowego świata, najczęściej w ogrodach, w których przelatując z kwiatka na kwiatek, miód z nich na pokarm sobie dobywa. Ptaszyna to niebezpieczchliwa, dozwala zbliżyć się do siebie, ale jak tylko dostrzeże zamiar schwytania, natychmiast

ulata. Słabe i delikatne nogi kolibrów nie dozwalają im chodzić, stąd rzadko widzieć je można na ziemi. Odważne do zuchwałości, zaciętą staczają walki szczególnie kiedy siedzą na jajach, których heroicznie bronią; rzucają się wtenczas z męstwem rozpaczy na daleko większe stworzenia, i często odwagę ich zwycięztwo uwieńcza. Gniazdo robią z delikatnego puchu pewnej rośliny i wyściełają listkami. Samica znosi zwykle dwa białe jajka wielkości zwyczajnego ziarnka grochu. Malutkie mające zaraz po urodzeniu wielkość domowej muchy ślepe są cały tydzień, a we trzy tygodnie zaczynają latać. Z różnych prób okazało się, że ledwo kilka tygodni i to w stanie chorobliwym, przeżyć mogą w Europie. Amerykanin jeden trzymał je w klatce i karmił sytą, czyli miodem rozwiedzionym wodą. Małe muszki i komary zlatywały się do tego miodu, kolibry w lot je łowiły i chciwie jadły. Nie tylko więc miodem z roślin dobywanym, ale i owadami żyją. Powia-

dają

dają, że kolibry w znacznej ilości wlatują pod skrzydła wielkich ptaków, i kłując je swojemi ostremi dzióbkami, śmierć im zadają.

Sroka.

Ptak to u nas pospolity i każdemu znajomy. Sroka ma lot powolny, skacze ciągle z gałęzi na gałąź krzycząc często w sposób zagłuszający. Pożywienie jej stanowią myszy, robaki, owady, owoce; porywa też kurczęta i kaczki młode. Pióra jej piękne, czarne, mieniące się, wyjąwszy spód i część skrzydeł które są czysto białe. Lubi miejsca zamieszkałe przez ludzi. Niesie się dwa czasem trzy razy do roku i znosi 7–8 jaj, które samiec i samica naprzemian wysiadują.

Gniazdo swoje sroka z wielkim buduje trudem i sztuką. Znosi naprzód suche pręty i układa z nich ściany, następnie wylepia gliną wewnętrzną stronę, dno zaś wyściela cienkiemi gałązkami, trawą, pierzem i włosami różnych zwierząt. Nad gniazdem urządza daszek z grubych prętów tak pochylony, że całe gniazdo zakrywa, mały tylko z boku zostawując otwór. Gniazdo umieszcza zwyczajnie na samym wierzchu wysokiej brzozy i stąd trudno je dojrzeć. Dopiero w jesieni jak liść opadnie widzieć je można w wielkiej liczbie jedno przy drugiem.

Sroka tak jest zwinna i ostrożna, że ją bardzo trudno złowić, a najlepszego strzelca nieraz do rozpaczy przywodziła, że jej ubić nie mógł, nie mógł zaś dlatego, że ptak ten wiecznie jest w ruchu, rzuci się w różne strony, skacze ciągle to z gałęzi na gałąź, to z drzewa na drzewo, to na ziemię

to znow

to znowu na drzewo.

Sroka wszystko porywa i unosi co tylko ujrzy, kość, kawał skóry, papier, pstry gałganek, wszystko niesie do gniazda albo do kryjówki którą niekiedy w dziuple albo w ziemi robi. W ogrodach wielkie zrządza spustoszenia w jagodach i owocach. Małe ptastwo wiele także od niej cierpi. Nachodzi ich gniazda, bije i wypija jajka, pisklęta zjada. A jeśli cudze gniazdo znajdzie wygodnem dla siebie, wypędza właściciela i sama w niem osiada.

Poluje często i na większe ptaki ale ostrożnie i z wyrachowaniem. Ujrzawszy takiego ptaka na drzewie, podlatuje do niego, skacze, to się zbliży, to oddali, jak gdyby chciała zyskać jego ufność, i jeśli się czuje na siłach, napada, jeśli zaś silny znajdzie opór, wtenczas zaczyna przeraźli-

wie krzyczeć; a na ten głos zlatują się zaraz inne sroki, z wszystkiem uderzają na przeciwnika i zabijają.

Ale i sroki mają swoich nieprzyjaciół: jastrzębia, orła, sowę, od których pomimo chytrości i zwinności swojej ocalić się nie mogą i których stają się zdobyczą.

W Hiszpanii są sroki odmienne od naszych i daleko piękniejsze. Głowa ich i tył czarne jak smoła z aksamitnym odcieniem, grzbiet światło-cynamonowy, szyja biała, brzuch szarawy żółto-krupkowany, skrzydła i ogon pięknego jasno-szarawego w błękit przechodzącego koloru. Zresztą obyczajów takich samych jak nasze.

Srokę pisklęciem z gniazda wziętą, oswoić łatwo można, i, jeśli się nie żałuje dla niej jedzenia, szczególnie kawałka mięsa, to będzie wylatywać i wracać do domu. Chowana sroka je gryczaną kaszę, sucha-

ry

ry, mięso syrowe i gotowane.

Wiadomą jest każdemu łatwość z jaką sroka nauczyć
się może kilku wyrazów i gadatliwość jej weszła w przy-
słowie. Dla powiększenia téj łatwości podcinają jéj wę-
dzidełko czyli nerw pod językiem. Wiadoma także jéj skłon-
ność do kradzieży. U jednego odlewacza dzwonów (Ludwi-
sarza) w Paryżu, ginęły z pokoju różne rzeczy srébrne. Po-
dejrzenie padło na służącą. Żeby się o tém lepiéj przeko-
nać, ludwisarz zostawił parę srébrnych sprzączek w po-
koju, do którego wchodził tylko on, jego żona i służąca.
Nazajutrz sprzączki zginęły i ludwisarz wprost obwinił słu-
żącą, która nie poczuwając się do winy, twierdziła stale
że nie jest winną kradzieży. Skutkiem rozpoczętego pro-
cesu biédną służącą osądzono na śmierć i powieszono.
Po niejakim czasie ludwisarz wszedł na dzwonicę para-
fijalnego swego kościoła dla obejrzenia dzwonów, i uj-
rzał na zegarze kościelnym w domu swoim wychowa-
ną srokę. Zawołał na nią *mag*, *mag*, sroka podle-

ciała do niego, ale zaraz się skryła w zagłębieniu sufitu: zajrzał w to miejsce ludwisarz i z największem zadziwieniem znalazł tam wszystkie rzeczy, za które biedną sługę powieszono: zdarzenie to posłużyło za treść dramatu i opery: <u>Sroka złodziej.</u>

Szpak.

Pospolity to ptak u nas, przytem towarzyski i zabawny. Należy do ptaków odlotnych i na wiosnę bardzo wcześnie do nas przylatuje. Barwa jego czarna z metallicznym odblaskiem, i z białemi na końcu piór cętkami, ale na zmianę barwy wpływa wiele wiek i płeć szpaka, dla tego bywa czasem czarny, czasem ciemno-żółtawy. Długości ma 8 cali i więcej.

Szpaki latają stadami często w ogromnej ilości, lubią szczególnie łąki wilgotne. Niszczą szkodliwe

owady

owady, ale przytem szkodzą wiśniom i winnicom.

W Rossyi zdarza się widzieć po wsiach, w ogrodach albo nawet na chatach włościańskich, osadzone na wysokich żerdziach małe, często malowane i zgrabne z okrągłym otworem domki. W tych domkach osiadają szpaki i zajmują się zaraz swoją gospodarką. Znoszą tam słomę, gałązki, strzępy wełny, pióra i urządzają gniazda. Samica składa 5–6 jajek z ciemnemi plamkami. W parę tygodni wylęgają się młode. Rodzice przynoszą im na pokarm robaki, gąsienice, ślimaki, jajka mrówek.

Szpak łatwo przywyka do ludzi, wyucza się niektórych wyrazów, i gwiżdże różne pieśni.

W Zegryngenie w Niemczech, u pewnego cerulika był szpak chowany, którego jeden z uczniów cerulika nauczył gadać, to jest wymawiać niektóre wyrazy. Szpak nietylko wyuczył się wszystkich słów, które słyszał od swego nauczyciela, ale i sam powtarzać

zaczął

zaczął, co inni mówili. Mówił naprzykład: „Ja cerulik w Zegryngenie” albo „par compagnie” (dla kompanji) albo „jak się Bogu podoba” albo „ach, ty nieuku” tak cerulik nazywał ucznia, kiedy ten coś nie tak zrobił jak należało.

Ponieważ cerulik zajmował się także przedażą wódki, odwiedzało go zatem wielu, a kiedy goście prowadzili z sobą wesołą i ożywioną rozmowę, to i szpak wtrącił swoje słówko często nawet dosyć stosownie, jak gdyby rozumiał o co rzecz idzie, a kiedy uczeń mówił do niego „co ty pleciesz hultaju” to szpak odpowiadał: „milcz błaźnie”. Wszyscy sąsiedzi znali owego szpaka i mnóstwo o nim rozpowiadali anegdot.

Razu jednego, kiedy mu podstrzyżone odrosły skrzydła, a pogoda była piękna i okno otwarte, szpak niedługo myśląc furknął na swobodę i skierował się na pole, gdzie przyłączył się do innych ptaków. Ale go tu nieszczęście spotkało, razem bowiem

z innemi

z innem ptastwem wpadł w nastawione sieci. W nie-
doli swojej wyrzekłszy: „jak się Bogu podoba" cze-
kał co dalej będzie. Kiedy ptasznik wyjmował z
sieci ptaki i zabijał, i kiedy z kolei zbliżył się do
naszego szpaka, ten zawołał: „ja cerulik w Ze-
gryngenie" jak gdyby wiedział, że tem siebie ocali.
Ptasznik zląkł się zrazu, ale wnet oprzytomniał
i od śmiechu ledwo mógł wymówić „a to ty bała-
mucie, anim myślał znaleźć cię tutaj, jak ty się
tu dostałeś?" „Par compagnie" szpak odpowie-
dział. Ptasznik odniósł szpaka do jego właściciela,
za co sowite odebrał wynagrodzenie. Cerulik zaś
jeszcze większej nabył praktyki, bo czy komu trzeba
było włosy spuścić, czy brodę ogolić, czy krew pu-
ścić, wszyscy nawet z dalszych okolic, do zegryn-
genskiego cerulika dążyli, żeby widzieć nadzwyczaj-
nego szpaka.

217.

Jeszcze parę słów o moim szpaku.

Mieszkając w Petersburgu otrzymałem w darze uczonego szpaka, który kilka lat mi służył i nieraz przyjemnie ubawił. Wymawiał dość wyraźnie nie tylko pojedyncze słowa, ale nawet całe frazy w języku rosyjskim, a po francusku szczebiotał powitanie: „Bon jour, Monsieur, bon jour, Monsieur, comment vous portez-vous?" (Dzień dobry panie, dzień dobry panie, jak się pan ma.) Prócz tego gwizdał różne pieśni, i tak dobrze naśladował śpiew kanarka, że często rozróżnić jednego od drugiego nie mogłem. Ile razy zadzwoniono u drzwi, szpak, spodziewając się gościa, zaczynał krzyczeć: „Чего ты пришелъ, чего ты пришелъ, пошелъ прочь" (czego przyszedłeś, czego przyszedłeś, pójdź precz). Jednego razu przyszedł do mnie, nie wiedzący o talencie mego szpaka, szanowny, uczony, obecnie wysoko w hierarchii duchownej stojący X. I. Mój szpaczek zaczął podług swego zwyczaju krzyczeć

czeć

czeć owe niegościnne: Чего ты пришелъ, чего ты пришелъ, поди прочь. Nie widząc nikogo wchodzącego poszedłem do 1° pokoju, żeby się dowiedzieć kto dzwonił i dla kogo drzwi otwierano. Znalazłem tam X. J. ze złożonemi na piersiach rękami patrzącego w milczeniu na szpaka, który nie przestawał powtarzać: чего ты пришелъ. Bardzo mnie cieszy, rzekłem, że mój szpak tak zainteresował pana. Ależ to impertynent, odpowie X J, wszakżem ja nie do niego przyszedł, za cóż on mnie wypędza? Chciałem łajdakowi pyski obić.

Opuszczając stolicę zimową porą, z żalem rozstać się musiałem z moim szpakiem, o którym kilka jeszcze zabawnych mógłbym opowiedzieć anegdot.

Głównem jego pożywieniem u mnie były jaja mrówczane, w tak zwanych кмурахъ пѣдахъ

(kandel

(handel ptastwem) przedawane na funty; niekiedy zaś serce wołowe gotowane i drobno posiekane, a także prusaki (persaki) które bardzo lubił. W czasie odlotu w jesieni niespokojny był bardzo i szamał się w klatce, albo siedział ponury i milczący, kiedy w innym czasie, cały prawie dzień, zwłaszcza zrana, ciągle to gwizdał, to śpiewał, to gadał.

Dodać jeszcze winienem, że szpak nie może obejść się bez kąpieli; chowanemu trzeba stawić w klatce a lepiej zewnątrz klatki obszerne naczynie z wodą. Zabawnie patrzeć jak się on kąpie. Zanurzy się całkiem w wodzie, wyskoczy, otrzęsie się, zanurzy się znowu i powtarza to w ciągu dnia kilka razy.

Lis.

Lis należy do rodzaju psów. Głowa u niego gru-

ba

ba z długim ostrym pyskiem, źrenice oczu podłużne, zęby i pazury ostre. Długości ma dwie stopy lub nieco więcej, ogon gęsty, puszysty. Na pokarm łowi króliki, zające, młode sarny, także żaby, myszy, jaszczurki, ale nad wszystko przenosi domowe ptastwo, gęsi, kury i kaczki. W polarnych stronach lisy bywają białe, w Ameryce północnej czarno-srebrzyste, najcenniejsze, są także ciemno-popielate których futro również jest drogie.

Lis jestto mistrz w oszukaństwie i chytrości, jak sprawiedliwie zowią go bajkopisarze. Żadne podobno zwierzę nie dorówna mu pod tym względem, żadne niema tak obfitych pomysłów, czy kiedy się wymknąć od ścigających go myśliwców stara, czy kiedy sam ściga zdobycz, czy kiedy myśli-

wego uprzedza. Spędził naprzykład myśliwy zająca, lis zna drogę którą zając pobieży, czatuje tam na niego i chwyta pierwej nim psy zwietrzyły ślad jego. On wie kiedy ptasznik zastawia sidła albo sieci, pilnuje więc i uprzedzając ptasznika podusi ptaszki. Lis robi sobie często norę blizko kurnika, subtelnem powonieniem czując w nim obecność smacznych kur i innego ptastwa. W nocy ryje wejście do kurnika, dostawszy się do niego, naprzód wszystkie ptastwo dusi żeby nie krzyczało, potém po jednej sztuce zaciąga do swojéj nory, zrobionej najczęściej u wejścia do najbliższego lasu, i zamkniętej w sposób najwłaściwszy przed okiem ludzkiém. Zdarzyło się, że gospodarz zeszedł go na gorącym uczynku kradzieży ptastwa w kurniku; lis padł natychmiast i udał nieżywego; tym sposobem ocalił się od śmierci a człowieka oszukał.

W norze

W norze, o której mówiliśmy, samica wychowuje swoje dzieci, o które tak jest troskliwa, że kiedy wróciwszy z polowania, znajdzie między niemi jaki nieporządek, w obawie żeby to nie był nieprzyjacielskiego najścia skutek, bierze je w paszczę i w głębsze schronienie przenosi.

Lis daje piękne futro, niedawno jeszcze w powszechnem u nas będące użyciu. Lisiury naszych ojców nie drogie a ciepłe, własną pracą czy zabawą zdobyte, teraz zastąpiły bobry, szopy i inne drogie futra. W północnej Rossyi z korzyścią zajmują się i teraz polowaniem na lisy. Kiedy psy albo sami myśliwi odkryją norę lisią, tamią ją drągami, albo zapuszczają w nią dym, którego znieść nie mogąc matka wybiega i wpada w ręce myśliwych, którzy łatwo potem wyciągają

młodych. Młode te liszka wychowują w domu, póki nie podrosną, poczem je zabijają na futra. Ale lisy tak lubią swobodę i tak w niewoli tęsknią, że nieraz jeden drugiemu przegryzały gardło, żeby nie żyć w niewoli.

Lisa można oswoić. Doktor jeden chował u siebie lisa i nauczył go jeść z jednego talerza z psem i kurą, i nigdy między niemi żaden spór nie powstał.

Lat temu około 30 czytałem w Journal de Francfort następne zdarzenie, procesu myśli i rozwagi w lisie dowodzące. Pewien Adwokat we Francyi miał u siebie lisa, którego trzymał na uwięzi w zbudowanej umyślnie dla niego przy kuchni budce. Tymczasem zaczęły u sąsiadów ginąć kury i inne ptastwo. Podejrzenie naturalnie padło na lisa i zaniesiono do Adwokata skargę. Adwokat przekonywał sąsiadów, że to nie może być sprawa lisa jego będącego dzień i noc na uwięzi. Ale kiedy

pomimo

pomimo tego grabieże nie ustawały, kiedy ptastwo ginęło i do Adwokata znowu się zwrócono ze skargą, ten kazał śledzić lisa. I coż się okazało? W nocy, jak tylko wszelki ruch ustał i wszystko się uspokoiło, lis zdejmował obrużę, i wyruszał do sąsiadów na polowanie; zrobiwszy swoje, wracał do budki, żeby zaś żadne na niego nie padało podejrzenie, obróżę znowu przez głowę wkładał na szyję i leżał spokojnie jakby nic nie było. Po tak oczywistym dowodzie łotrowstwa swego lisa, Adwokat czuł się w obowiązku nagrodzenia szkód sąsiadów swoich, ale razem kazał zwęzić obróżę, którj już lis zdjąć przez głowę przy największem usiłowaniu niebył w stanie, i odtąd ustały grabieże.

Osioł.

Kiedy chcemy kogo nazwać głupim, mówimy że on osioł. A niesłusznie, bo osioł wcale głupim z natury nie jest, a tylko przez złe z nim obejście się staje się takim. Jak każde stworzenie ma on swoje wady, ale ma i zalety. Jest niekiedy uparty, kapryśny, leniwy; trzeba naprzykład udać się w drogę, ale osioł ma swoje przyczyny dla których woli pozostać w domu: więc ani ruszy z miejsca, albo, przeszedłszy część drogi, puści się razem i pędzi jak szalony. Człowiek łaje go, okłada kijem, ale on na to nie zważa. Może dla tego, że skóra jego gruba nie czuje ciosów, albo może chce dokuczyć gospodarzowi myśląc sobie: gniewaj się, gniewaj, a ja taki nie pójdę kiedy nie zechcę, pocierpię trochę,

a zawsze

a zawsze taki na swojém postawię. Czyż nie bywa tak i między ludźmi?

Młody osioł to bardzo zabawne stworzenie. Śmiać się trzeba widząc go skaczącego koło matki, albo bawiącego się wesoło z towarzyszami. Przywiązany niezmiernie do matki prawie nie odchodzi od niéj, i opiera się silnie, kiedy go z nią chcą rozłączyć.

Osioł kształtem podobny do konia, ma szerokie i długie, nieco szpecące go uszy, dla tego stał się celem naśmiészek i niejako symbolem głupoty. Ojczyzną jego jest Azya, gdzie żyje w licznych stadach. stąd przechodził koleją do Egiptu, do Grecyi, do Włoch i w strony północne Europy, tracąc ze swych dobrych przymiotów coraz więcéj, w miarę zniżania się temperatury. W Arabii

bii osły są bardzo piękne i szacują się czasem drożej od konia. We Włoszech, Francyi, Hiszpanii, bywają dzielne osły i tam są one powszechnie do przewożenia ciężarów i do podróży używane. Lata jego podobnie jak u konia wskazują zęby. Lubi kłaść się na ziemi lub na trawie nie mając względu na to co na swym grzbiecie niesie. W jedzeniu zgoła niewymyślny: oset, jeżyna, łopian albo trawa taka, że jéj ani koń ani krowa nie dotknie, dla osła jest łakomym kąskiem. Ale za to woda powinna być czysta, mętnej i brudnej za nic pić nie będzie. Spi mało, a do obrony używa nóg i zębów.

Ozioł nie tylko nie zasługuje na pogardę z jaką go traktują, ale dla wybornych przymiotów godzien jest względów i troskliwości. Jest on użytecznem i dobrem zwierzęciem, jest cierpliwy, odważny, znosi z największą rezygnacyą niedosta-

tek karmu i zmiany powietrza. Przywiązany jest do swego pana którego wszędzie poznaje. W trudnych przeprawach, w niebezpiecznych przez góry drogach, można się z ufnością powierzyć jego nogom wiernym i pewnym. W wielu krajach osioł zastępuje wierzchowe konie. W Egipcie ulice w miastach bardzo są wązkie, dlatego jazda po nich odbywa się prawie wyłącznie na osłach. Dobry osioł idzie krokiem równym, spokojnie, nie podrzucając. Za takiego osła wyjętego do drogi płacą znaczne pieniądze. W Hiszpanii zdobią go różnemi wstążkami, kutasami, kolorowym naszyjnikiem, pięknym czaprakiem. Mówią, że osioł dumny jest, kiedy go pięknie ubiorą, że się cieszy iż zwraca na siebie uwagę ludzi.

Mléku oślicy przypisywano niegdyś własności lecznicze, w rzeczy zaś, mléko to stanowi pokarm

lekki i zdrowy i nic więcej. Krew osła należała także do medykamentów. Skóry jego jest obszerny użytek; twarda i elastyczna służy do różnych przedmiotów; robią z niej bębny, grzechotki, pargamin i t. d.

Osioł nie jest bez zdolności i można go nauczyć wielu rzeczy. Skacze przez koło, tańczy, otwiera mordą drzwi, chodzi po wschodach, poznaje wiele oczek w karcie i pokazuje to uderzając nogą o ziemię.

Lubi także muzykę. W Chartres we Francyi osioł jeden chodził do sąsiedniego zamku, w którym grywała muzyka, stawał pod oknem i pilnie słuchał. Ale raz, kiedy melodya bardzo już mu była po sercu, nie mógł wytrzymać, bez ceremonji wszedł do muzykalnej sali, czego służba nie postrzegła, i chcąc radość swą okazać odezwał się i przeraźliwym rykiem wszystkie instrumenta zagłuszył.

Pamięć osioł ma także wielką i nie zapomina miejsc w których przebywał. W r. 1816 płynęła flotta z Gibraltaru do Malty; w drodze zachwycona burzą osiadła na mieliznie. Zaczęli wyrzucać do morza mniej potrzebne rzeczy, w tej liczbie i osła. Ale on nie zginął. Walcząc z bałwanami dopłynął do brzegu i znalazł drogę do Gibraltaru leżącego o 200 mil od miejsca wypadku. Droga biednemu zwierzęciu była nieznana, miejscowość którą musiał przebywać górzysta, strumieni i jarów pełna. Sądząc po czasie, w którym podróż swą odbył, wnosić należy, że obrał sobie najkrótszą drogę. Niespodzianym powrotem swoim zadziwił wszystkich w Gibraltarze.

Osły żyjące na swobodzie lekkie są, zwinne, i mogą w biegu prześcignąć konia. Są między

niemi bardzo piękne, mające fizyognomiję rozumną, żywe, pełne ognia oczy, a jeśli nasze osły niepodobne są do nich, to dlatego, że i życie ich jest inne. Jeśliby i nam dostało się dźwigać większe ciężary, i większe odbierać kije, niewiele zapewne bylibyśmy lepszymi. Złe obejście się każdego psuje. Mimowolnie stajesz się kłótliwym, upartym, leniwym.

Koniec.

Spis rzeczy.

Wiérsze

Proza.

Rozmaitości.

Nieco z fizyki.

Opowiadania.

Nieco z historyi naturalnej: